Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 2 maja 1937 r. Nr. 18

NA ZAWSZE...

Na zawsze zostanie w sercu lęk
Ukryty głęboko, a zdradnie —
Zbyt prędko świeżych zwiądł kwiatów pęk,
Zbyt nagle umknęły szczęścia dnie...

Na zawsze zostanie tęskny żal
Za chwilą upojeń tęczową...
Mgłą gęstą zasnuta życia dal —
Kto wskaże szlak złoty na nowo?...

Na zawsze zostanie męka śnień
I myśli, zwątpieniom powolne —
Drogę moją pokrył wielki cień,
Kto Fatum oprzeć się jest zdolny?...

Danuta Wyrybkowska.



WOJCIECH HOLM

29)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Pan Ismar Cohen wysiadł, pomógł swej towarzyszce wyjść z powozu, wziął z galanterją jej torbę podróżną i poprowadził ją po schodach, które do domu prowadziły.

Rozwścieklony kudłaty pies zaczął szczekać i chwycił pana Cohena za spodnie.

Napadnięty wyszeptał po cichu francuskie przekleństwo i kopiąc prawą nogą psa zawołał głośno:

— He, hola! Co to za gospodarstwo, dlaczego nikt się nie pokazuje?

Woźnica zsiadł z kozła i uwolnił pana Cohena w ten sposób od psa, że okładał go całą siłą batem, potem uderzył obcasem o zamknięte drzwi tak, iż silny odgłos rozległ się wśród ciszy nocnej.

— Jeżeli nie pomarli tu, to chyba się zbudzą na ten hałas — mruknął woźnica, który oparł się plecami o drzwi i obydwoma obcasami silnie o nie tłukł.

Naraz otwarły się cicho drzwi do środka, a woźnica, który przez to stracił równowagę, upadł w tył.

Z przekleństwem na ustach podniósł się i nacierał swe poturbowane członki.

Pan Ismar Cohen poprowadził swoją towarzyszkę w głąb domu.

Sylwia ujrzała teraz karlicę o nieforemnej dużej głowie i bezmyślnych, wyłupiastych oczach.

Odstraszające to i szkaradne stworzenie było ubrane w bardzo pstre suknie i obładowane formalnie fałszywymi klejnotami.

Karlica wzięła Sylwię za rękę i pociągnęła ją za sobą.

Postawiła świecę, którą miała w ręce na stół, tak, że trochę tylko oświetliła przestrzeń, w której się znajdował pan Cohen i woźnica.

Milcząc otwarła drzwi do pokoju, wsunęła Sylwię do komnaty, którą oświetlały tylko promienie księżyca i zamknęła za nią drzwi.

Gdy Sylwia próbowała drzwi odemknąć, zauważyła, że dają się one tylko z zewnątrz otworzyć.

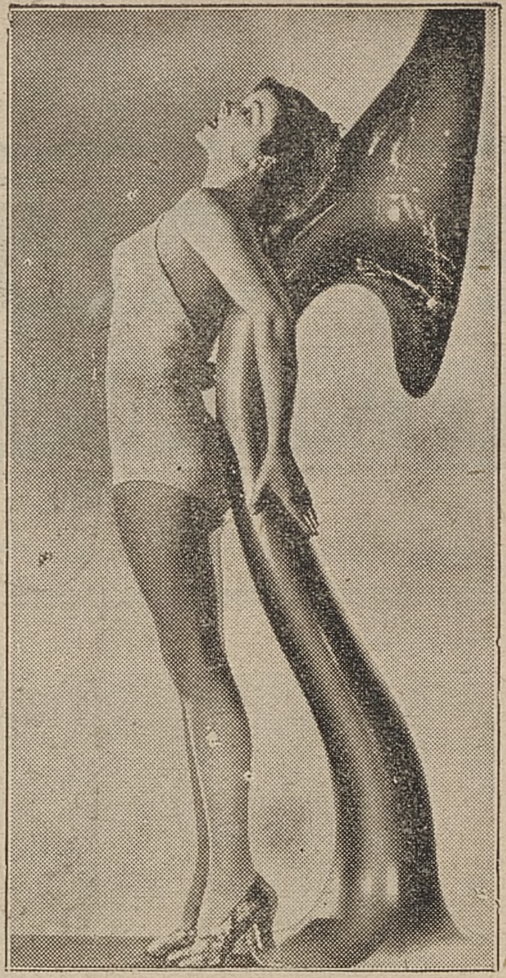
W chwilę później słyszała jak powóz galopem odjechał.

W pokoju było zimno i nieprzyjemnie, chociaż dość czysto.

Powietrze było duszne i wilgotne, jak w zamkniętych lokalach i to działało na nią przygnębiająco.

Usiadła na krześle, gdyż wstręt jakiś odpychał ją od łóżka. Co chwila zdawało się jej, że się otworzą drzwi i wejdzie ktoś z tajemniczych mieszkańców domu i ta myśl nie dała jej usnąć aż do samego świtu, potem dopiero nie mogła się oprzeć prawom natury. Oczy przymknęły się, główka opadła na pierś i usnęła.

Przez odsunięte okienko patrzyło na śpiącą dwoje oczu, których właścicielka weszła ostrożnie do pokoju, gdy się przekonała, że dziewczyna już tak mocno usnęła, że ją szmer w pokoju nie zbudzi.



Najpiękniejszą figurę z wszystkich tancerek w Hollywood, ma artystka, którą widzimy na powyższym zdjęciu.

Była to owa karlica, która Sylwię tu zamknęła.

Zbliżyła się ona do Sylwii po cichu i ostrożnie. Zręcznie jak złodziej wsunęła swoją rękę o długich palcach do torby podróżnej Sylwii, ale pieniędzy wcale nie tknęła, zabrała tylko sfałszowany list.

Skoro go wzięła, wysunęła się jak cień nieznacznie i cicho z pokoju i bardzo ostrożnie drzwi za sobą zamknęła.

Po krótkim czasie obudziła się Sylwia.

Było jej zimno i dlatego chodziła po pokoju, aby się ogrzać.

Potem przystąpiła do okna i patrzyła na pustą, niczym nieurozmaiconą okolicę.

Nareszcie sięgnęła do torbeczki, aby wyjąć list i jeszcze raz przeczytać, aby podziałał na nią jak talizman i rozproszył jej obawy i podejrzenia, które nią owładnęły, ale jakież było jej przerażenie, gdy listu nie znalazła.

— Dziś jeszcze miałam go — mówiła trwożnie. — Okrywałam pocałunkami i przyciskałam do serca, nim usnęłam.

Widocznie, że podczas mego krótkiego snu, ktoś tu do pokoju się wsunął.

Ta myśl bardzo ją niepokoiła. Próbowała otworzyć drzwi, ale rygla nie było wewnątrz, a klucz tkwił we drzwiach od zewnętrznej strony.

— Jestem uwięziona — szepnęła.

Każda inna byłaby na jej miejscu zupełnie straciła odwagę, ale ona nie dała się z tropu zbić.

W pokoju była umywalnia.

Młoda dziewczyna umyła się zimną wodą i zaczesała swe loki.

Gdy w ten sposób skończyła swą toaletę, odemknęły się drzwi.

Karlica weszła do pokoju, nakryła stół obrusem, a następnie postawiła na nim tacę z winem do herbaty i dobrym pieczywem.

— Zginął mi list, który posiadałam jeszcze tej nocy — rzekła Sylwia.

Karlica wzruszyła pogardliwie ramionami i chciała wyjść z pokoju, nie odpowiedziawszy na postawione jej pytanie.

— Czy nie chce mi pani dać odpowiedzi? — mówiła Sylwia dalej ze spokojem i zastąpiła karlicy drogę, ale ta z nadzwyczajnym sprytem wywinęła się i wyszła z pokoju.

— Ona nie chce mi odpowiedzieć — pomyślała Sylwia.

Aromatyczny zapach herbaty nęcił ją, bo już przez dwadzieścia cztery godziny nic w ustach nie miała i dlatego była głodna.

Wzdrygała się jednak korzystać z gościnności, którą jej ofiarowywano w tak nieuprzejmy sposób.

W tem usłyszała głośny turkot powozu, który zatrzymał się przed domem.

Był to właśnie ten pan, który Sylwię wczoraj tu przywiózł.

Siwowłosy pan wysiadł z powozu i wstąpił do domu, którego drzwi natychmiast otworzyły się na oścież.

Nie pytając o nic, udał się wprost do pokoju, w którym znajdowała się piękna dziewczyna, zapukał lekko do drzwi i wszedł, nim mu Sylwia na zapukanie odpowiedziała.

— Czy dobrze pani noc spędziła? — zapytał ją uprzejmie.

— Spałam bardzo mało i tę krótką chwilę mego snu użyto na to, aby mię okraść — odpowiedziała Sylwia.

— O, o, — zawołał Ismar Cohen, ganiąc — pani wypowiada tu, jak zwykle młodzi zbyt prędko wypowiadają ciężkie posądzenie, które się częściowo i do mnie odnosi, bo pani czyni mi tu ogłednie zarzut, że zawiozłem panią do domu, w którym okradają. Wynagrodzę pani chętnie szkodę, jaką pani poniosła, bo czuję się moralnie do tego zobowiązany. Ile pieniędzy pani brakuje?

— Nie chodzi tu o pieniądze — odrzekła Sylwia boleśnie — chodzi tu o coś ważniejszego. Brak mi tego listu, w którym mój narzeczony prosi mię, abym przyjechała i uwolniła go.

— Ach, tak, to co innego — zawołał starszy pan. — Nie jest to w takim razie kradzież. List gdzieś się zarzucił i z pewnością znajdzie się. Niech się pani tem nie martwi.

List był jednak w kieszeni tego na pozór tak szanownego człowieka, bo rozkazał on karlicy, aby Sylwii list wykradła.

— Czy pani jest już po śniadaniu? — mówił dalej.

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— W takim razie musi to pani teraz uczynić — nalegał na nią Cohen, w którym domyślni czytelnicy rozpoznali już zapewne barona Egona, mimo tego, że był przebrany.

Nalegał tak długo i prosił, póki nie uległa i nie spożyła śniadania.

Gdy naczynie, z którego spożyła, odsunęła, podał jej pan Ismar Cohen ramię i poprowadził ją do powozu.

Karlica zaś wzięła podróżną torbę Sylwii i poszła za nimi.

Ze złośliwym wyrazem twarzy i z pogardliwym ruchem, odsunęła wynagrodzenie, które jej Sylwia dać chciała.

Młoda dziewczyna wsiadła do powozu i nawet nie miała dość czasu, aby rozmyślać nad swym dziwnym położeniem, bo zaledwie dwadzieścia minut jazdy upłynęło, gdy powóz stanął przed bramą wysokiego obmurowania.

Woźnica zeskoczył z kozła powozu i zadzwonił na służbę.

Po upływie dobrej chwili otworzyła się brama, którą otworzył służący, w ciemnej liberii i przybyłych powitał z wielkim uszanowaniem.

Pan Cohen poprowadził swoją towarzyszkę przez pusty ogród, wilgotny z powodu jesiennego deszczu, musiał tam być cudowny pobyt w czasie wiosny i lata. Teraz były jednak trawniki puste, grządki bez kwiatów, nigdzie nie nasuwał się oku widok przyjemny.

— Czy mogę prosić o imię pani? — zapytał łagodny głos.

Sylwia spojrzała tylko w stronę, skąd głos dochodził, a w tej chwili stanął obok niej drugi służący także w ciemnej liberii.

— Ada hrabianka Dornbruch — odpowiedział pan Cohen.

Służący skłonił się i zniknął.

Po krótkiej jednak chwili powrócił i powiedział grzecznie:

— Czy mogę prosić?

Otworzył przy tem drzwi, a młoda kobieta szła za nim, nie przeczuwając nic złego. Pan Cohen szedł tuż za nią.

— Jeszcze jest bardzo wcześnie — rzekł — odszukam pana hrabiego, aby mu oznajmić przybycie pani i oświadczyć mu, ażeby się z toaletą swoją wcześniej uporał.

— Bardzo będę panu za to wdzięczna — odparła Sylwia.

— Zatem dowidzenia — odpowiedział pan Cohn i znikł.



W berlińskim cyrku występuje jedyna na kuli ziemskiej kobieta — fakir. Na zdjęciu scena z numeru popisowego kobiety — fakira.

Sylwia została sama w pokoju.

Zdaje się, że była to biblioteka, bo długie rzędy półek założone były mnóstwem książek.

Mechanicznie zbliżyła się Sylwia do półek i chciała z nich wyjąć jedną z książek, ale jakie było jej zdziwienie, gdy żadna z pozornych książek z miejsca ruszyć się nie dała, bo nie były to żadne książki, tylko blaszane formy, imitujące je.

Opuściła je i skierowała swe kroki ku drzwiom, ale zimny pot wystąpił na jej obliczе, gdy je próbowała otworzyć.

Po otworzeniu drzwi ujrzała znowu ociężałą półkę, na której się również mnóstwo takich złudnych książek znajdowało.

Drżąc na całym ciele, próbowała nieszczęśliwa Sylwia ową półkę odsunąć, ale jej mozolny wysiłek był daremny.

Również bezowocnem było jej usiłowanie, aby książki z półki zdjąć, gdyż były przylutowane.

— Znowu jestem uwięziona — wyjąknęła boleśnie. — Wielki Boże! Z pewnością jestem teraz jeszcze bardziej oddalona od Wernera niż przedtem.

Załamała ręce i gorzkie łzy popłynęły z jej oczu, ale nie dlatego, żeby ubolewała nad sobą, tylko z rozpaczy i obawy, że Werner znowu bez ratunku i pomocy zostaje.

Ale nie długo mogła się oddawać swej rozpaczy, gdyż wkrótce opanowało ją uczucie odwagi i siły.

— Wpadłam w pułapkę przebiegłych ludzi, — mówiła do siebie — ale nie zwątpię, tylko starać się będę uciec z tego domu.

Ponieważ drzwi były zastawione półką, chciała uciekać przez okno.

Przystępując do okna położyła rękę na zasuwkę i próbowała je otworzyć.

Zaledwie jedną zasuwkę zdołała odsunąć, poruszyła przez to dwonek, który przeciągły i przeraźliwy głos wydawał.

— Proszę się nie natężać — zawołał bardzo łagodny głos.

Przestraszona Sylwia obejrzała się i zobaczyła mężczyznę w średnim wieku, bardzo elegancko ubranego, który wszedł i drzwi owe zastawione półką z książkami otworzył.

— Czy był to sen? Czy wszystkie ściany są tu tak zastawione półkami? W jaki sposób ta półka we drzwiach

Dlaczego ją tu zwabiono? Gdzie był Werner i kto był ten pan Cohen, który zniknął w taki tajemniczy sposób i tak bardzo wpłynął na jej zagadkowe teraz położenie?

Wszystkie te pytania krzyżowały się po jej głowie i wprawiły ją w gorączkowe rozdrażnienie i z powodu tego miała wygląd osoby wzburzonej i nerwowej.

ROZDZIAŁ CIX.

„O żegnaj mi, za pięknie by to było,
O żegnaj mi, inaczej zrządził Bóg".

Pomimo, że żal i ból biednej Idy był wielki, to jednak nie mogła się mu zupełnie oddać, gdyż zajmowała ją walka o chleb codzienny.

Gdyby Ida była bogatą panną, byłaby pewno całymi nocami płakała i z zaczerwienionymi oczyma zasiadała do śniadania, ale ponieważ była wychowanicą pani Hai, musiała na kżdy kęs chleba ciężko pracować, gdyż pani ta nie znosiła próżniaków w swoim domu.

Skoro więc Ida zdjęła swój elegancki kostium i włożyła swoją domową suknię, osuszyła łzy, któreby mogły zdradzić jej smutek i udała się do kuchni, w której Teresa stała przy balii, a Anna spożywała w pospiechu skromną kolację.

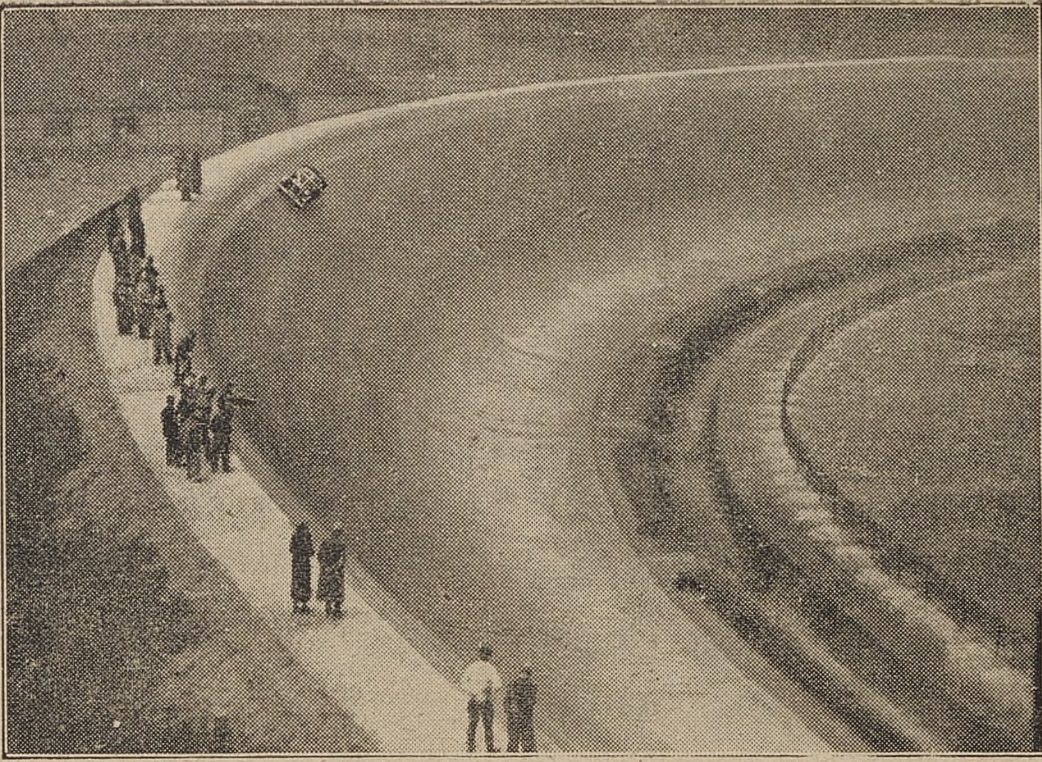
— To już muszę powiedzieć — wówiła, mając pełne usta — że we Wiedniu każda pani daje bieliznę z domu, a tylko nasza pani każe nam prać.

O Jezus, Maria, jaka ja jestem zmęczona! Mogłabym trzy dni i trzy noce spać bez ustanku, a tu trzeba się tak męczyć przy tym praniu. Tyle się człowiek nalata, a nie dostaje ani kawy, ani nic zresztą porządnie zjeść, a pracować tu trzeba za dwie.

— O, to wcale nie było ładnie ze strony markiza, że tak nagle od nas się wyprowadził — mówiła Anna niezadowolona. — Dlatego nie zostawił mi też nic, a przecież na to zasłużyłam. A ta Teresa wyśmiewa się ze mnie. Musiała dobrych kilka guldenów dostać też od markiza.

— A co myślisz? Dostałam, ten pan markiz jest hojny pan.

— Ale to okropne. Mnie umyślnie wysłali, a bym nic nie dostała. Teraz Teresa musi się ze mną podzielić, bo one te pieniądze pewnie i dla mnie zostawił.



Ilustracja nasza pokazuje część słynnego toru wyścigowego w Berlinie.

— Nie! — odrzekła Teresa — pan nic nie mówił.

Niepocieszona Anna zapytała teraz:

— A pani co myśli, panno Ido, czy mi markiz jeszcze przyśle jaki podarek?

— O, tak — odrzekła Ida.

Teresa zaprzeczyła temu bardzo energicznie.

— Dobrze ci mówić — broniła się Anna — kiedyś dostała wynagrodzenie. Jabym się chciała tylko dowiedzieć, dlaczego pan markiz tak nagle nasz dom opuścił. Kto wie, czy się nasza pani z nim nie pokłóciła?

— Nie — odrzekła Teresa, która była zadowolona, że rozmowa schodzi na inny temat. — Pani nie, raczej nasz panicz musiał go rozgniewać, bo kiedy markiz wsiadł do dorożki, spojrzał z gniewem na panicza, ten zaś uśmiechnął się złośliwie.

— A czy panicz był u pana markiza w pokoju? — pytała Anna ciekawie.

— Pewnie, odrzekła kucharka — wprawdzie nie wolno mi o tem mówić, ale tobie mogę przecież wszystko powiedzieć.

Panicz był dość długo w pokoju pana markiza, a ten zaraz potem pożegnał się z naszą panią i wyprowadził się.

Ida westchnęła.

Przeczuła ona, że tylko plotki Teobalda spowodowały tak nagłe wyprowadzenie się markiza i tembardziej obrzydły jej jego nudne komplementy.

Czy dowie się kiedy prawdy, dlaczego wyprowadził się markiz w czasie jej nieobecności?

Nie zostało jej wiele czasu do zastanawiania się nad tem, gdyż pani Hai zawołała na nią rozkazującym tonem, a ona natychmiast usłuchała tego głosu.

— Dlaczego mi nie przypomniałaś, że nie dostałaś jeszcze kolacji — mówiła pani aptekarzowa mrukliwie. — Pewnie z rozmysłu to zrobiłaś, aby mnie rozgniewać. Teobald zrobił mi o to awanturę. O taką przybłędę, żebraczkę, krzyczy Teobald tak, że można ogłuchnąć.

— Nie łając, matko — zawołał Teobald, który właśnie na to nadszedł, potem zbliżył się do Idy i chciał ją ucałować, ale piękna dziewczyna wymknęła mu się zręcznie.

— Idziu! — zawołał Teobald — daj mi całusa, a pójdziemy zaraz do winiarni, gdzie poczęstuję cię ostrygami i szampanem. Mamę zostawimy w domu, aby nam swą kwaśną miną nie psuła humoru.

— Pewnie — zawołała pani Hai gwałtownie — ja mam ustąpić miejsca tej żebraczej dziewczynie? Gdybym była przeczuła, że ci Ida tak głowę zawróci, to byłabym ją zostawiła na ulicy, niechby z głodu zginęła, a nie przyjęłabym ją do swego domu.

Cóż widzisz szczególnego w tej dziewczyny? Jest taka, jak zresztą wszystkie dziewczęta, a nawet jest brzydszą od nich.

Ida skorzystała z tej sprzeczki i wyszła z pokoju.

— Ja mówię ci matko — wołał Teobald bijąc pięściami o stół — żebyś mi tej dziewczyny nie łajała! Czy myślisz, że tem łajaniem i kłótnią zjednasz sobie jej serce?

— Czyż mi zależy na jej głupim sercu — odrzekła pani Hai zjadliwie. — Na co zda mi się jej serce?

— Czy wiesz mamo, do czego przyjdzie — zawołał Teobald zirytowany. — Jednego pięknego poranku dziewczyna nam ucieknie.

— Nie byłoby to wielkim nieszczęściem, byłby jeden darmozjad mniej.

— Tak myślisz — spytał Teobald, rzucając matce spojrzenie, które wcale o miłości dziecięcej nie świadczyło.

Ja myślę zupełnie inaczej. Gdyby Ida jednego dnia znikła, to gniew mój nie miałby granic.

Powiedziawszy te słowa wyszedł z pokoju i ku wielkiemu niezadowoleniu pani Hai poszedł wprost do kuchni, gdzie opowiadał różne wesołe dykteryjki, aby wywrzeć na Idzie korzystne wrażenie.

Ale usiłowania te były daremne.

Anna i Teresa omal nie pękły ze śmiechu, ale Ida była poważna i smutna.

W każdym jednak razie przydał się na coś pobyt Teobalda w kuchni.

Pani Hai zjawiła się jak furia w kuchni i wołała ochrypłym głosem, że na to wszystko już patrzeć nie może.

Przecież dziewczęta nie będą mogły pracować, więc niech się przynajmniej światło daremnie nie pali. Niech się służące natychmiast spać kładą, a jutro dokończą już bieliznę.

— Brawo, mamo! — zawołał Teobald. — To się chwali! Sen przed północą najlepiej wzmacnia. Jeżeli młode panny chcą zachować swą piękność, to niech wcześnie spać idą!

Gdybym kiedy miał córki, to musiałyby się zawsze o ósmej wieczorem kłaść spać. Teraz jest już dziesiąta godzina, a więc już dwie godziny spania mniej.

Pani Hai mruknęła coś pod nosem, co brzmiało nie bardzo po chrześcijańsku, poczem bez ceremonii zgasiła lampę. Teobald zaś chciał wykorzystać te ciemności, aby jedną z trzech dziewcząt przynajmniej wycałować, ale pomylił się i objął swoją matkę.

Połapał się natychmiast, dotknąwszy się jej tylko, bo pani Hai była nadzwyczaj tęga, podczas gdy wszystkie trzy dziewczęta miały smukłe figurki.

Wyciągnąwszy zaraz pudełko zapałek, zaświecił jedną i przy bladym jej blasku zobaczył, że znajduje się sam na sam ze swoją godną matulą w kuchni. Zrobiwszy to odkrycie, świsnął przeraźliwie.

— Dlaczego mama wysłała już swoje trzy gracje do łóżka? — zapytał. — Wybornie się z niemi bawiłem. Anna ma zęby jak myszka, a Terenia, jak się śmieje, to ma takie cudne dołeczki w policzkach, że i księżna by jej pozazdrościć mogła.

— Mnie się zdaje, żeś ty w nich wszystkich trzech zakochany — zrzędziła aptekarzowa.

— Nie jestem przecież Turkiem — odpowiedział Teobald z uśmiechem — kocham tylko swoją słodką Idę, ale mimo to nie jestem ślepy na wdzięki innych ładnych dziewcząt.

— Znam ja to — rzekła pani Hai z brzydkim uśmiechem. — Dobra noc, Teobaldzie, a śnij o wszystkich trzech swoich lubych.

Nazajutrz rano miała sympatyczna mama bardzo miłą niespodziankę. Otrzymała bowiem w prezencie od markiza de Lorme kosztowną broszkę i parę pięknych, brylantowych kolczyków.

Do tego wspaniałego daru dołączony był list pełen podzięki i uprzejmości.

— Co on pisze? — spytała pani aptekarzowa swojego synalka — może każe tę wspaniałą biżuterię oddać Idzie? Nie oddałbym jej jednak tej głupiej gęsi!

Podczas, gdy pani mama w ten sposób odsłaniała swoją piękną duszę, przebiegł Teobald list markiza szybko oczyma.

— Domyślność mamy jest podziwu godną — rzekł pozornie znudzony — markiz prosi w tym liście, aby mama wręczyła tę biżuterię dziewczęciu, które go z takiem poświęceniem pielęgnowało.

Był to w rzeczywistości tylko żarcik, na który sobie miły synalek ze swoją mamą pozwolił, bo markiz przeznaczył dar ten dla pani Hai i prosił, aby przyjęła ten mały dowód wdzięczności.

— Wszystko mi jedno, jak ten głupi markiz de Lorme o tym myśli — oburzyła się pani aptekarzowa — ja w każdym razie zatrzymuję tę biżuterię dla siebie i basta.

Podczas, gdy pani aptekarzowa oglądnąwszy raz jeszcze te drogocenne klejnoty, schowała je do szafy, między swoje rzeczy wartościowe, miała i Ida bardzo radosną niespodziankę.

Do kuchni przyszła mała, ładna dziewczynka i zapytała o nią, a że Ida właśnie była w kuchni, wyjęła z koszyczka bukiecik niezapominajek, wręczyła go do jej rąk i prędko odeszła.

Zdziwiona Ida spoglądała na tak przepiękny bukiecik, który z powodu niezwykłej pory dla tej rośliny, był nader cennym okazem.

Na jednej łodyżce przymocowany był misternej roboty medalion ze wspaniałym brylantem. Wewnątrz tego medalionu nie było ani fotografii, ani włosów, tylko kartka papieru, na której drżącą ręką wypisane było po francusku:

„Raz w oczach Twych mi niebo zaświeciło!
Widziałem tam miłości, szczęścia szał,
O, żegnaj mi! Zbyt pięknie by to było —
O, żegnaj mi! — Inaczej Pan Bóg chciał."

Ida od razu domyśliła się od kogo ten dar pochodzi. Okrywała pocałunkami karteczkę i kwiaty i płakała rzewnie.



Popisy sławnej tancerki amerykańskiej w „Tańcu z wężem".

Potem wyszukała pudełeczko, z którego wyjęła pleciony z ciemnych włosów łańcuszek. Przed wielu laty matka jej kazała ze swych własnych włosów sporządzić ten łańcuszek na podarek dla przyszłego narzeczonego, późniejszego ojca Idy. Ponieważ łańcuszek ten nie miał żadnej wartości, więc pani Hai podarowała go Idzie, która przechowywała tę pamiątkę po matce, jako cenny skarb.

Teraz przymocowała medalionik do owego łańcuszka i zawiesiła na swej szyi pod staniczkiem. Niezapominajki wstawiła do wody i zanim wróciła do roboty, ucałowała je raz jeszcze.

Hania jak zwykle podsłuchiwała pod drzwiami i słyszała rozmowę między matką a synem i złościła się słusznie, że stara Haiowa dostała pieniądze i diamenty i brylanty i Bóg wie co, a ją wysłała z domu umyślnie, żeby markiz jej nic nie mógł dać.

Namyślała się więc jakim sposobem się zemścić na swej pani.

— Ten stary dureń — myślała sobie — nie przypuszcza nawet, że ja coś wiem o jego miłostkach. Nie zdradzałam go, bom się bała, ale jeśli to sprytnie urządzę, to nic mi się nie stanie.

Weszła z niewinną miną do pokoju, gdzie pani Hai właśnie była zajęta krytykowaniem wszystkich, którzy tamtędy przechodzili.

— Bielizna już na sznurach, proszę pani. Czy mam pójść czyścić okna do pokoju pana?

— Czekaj, pójdę z tobą — krzyknęła pani aptekarzowa.

Pokój jej męża był dla niej więcej niż świętością. Nie znosiła tego nigdy, aby która ze sług była tam sama, bez jej czujnego dozoru.

Wprawdzie pan Hai był teraz w drodze z Frankfurtu do Wiednia i nie mógłby był w żaden sposób dać swej żonie powodu do zazdrości, ale tak była przyzwyczajona odprowadzać zawsze służbę do pokoju swego małżonka, że stało się to jej drugą naturą.

Licząc na tę nawyczkę, ułożyła sobie Hania plan zemsty.

Obserwowała ona pana swego kilka dni przed jego odjazdem i spostrzegła, że on pisał jakiś liścik, kryjąc się z tem, aby go nikt nie widział i że ten liścik następnie sam wrzucił do skrzynki.

Z tajemniczości tej wnioskowała Hania, że chodziło aptekarzowi o to, aby nikt w domu adresu nie czytał; przypuszczenie to nie było zupełnie słuszne, bo list ten pisany był w rzeczywistości do pewnej pięknej jego przyjaciółki.

Czyszcząc szyby i mydląc ramy okien, zwróciła się Hania do swej pani:

— Proszę pani, czy to wszystko prawda, co piszą w gazetach?

— Czego się pytasz, głupia? — odpowiedziała pani Hai.

— Kupiłam sobie niedawno nici za centa — opowiadała przebiegła Hania — a kupiec zawinął mi je w kawałek starej gazety. Ze świstka tego wyczytałam dziwną historię o jakimś panu, który się sprzeniewierzył swojej żonie, a którego zdrada wyszła na jaw przez bibułę.

— Jakżeż to jest możliwe? — zapytała pani aptekarzowa.

— Ten pan pisał bardzo często do swojej kochanki — objaśniała Hania — a to co pisał w listach, odbijało się na bibule podkładki. Ciekawa jego służąca poszła z tą bibułą do zwierciadła, za pomocą którego odczytała najtajniejsze sprawy sercowe swego pana. Zwierzyła się z tym zmartwionej i obrażonej jego połowicy, która odtąd zawsze zabierała bibułę z biurka męża, gdy widziała, że on poprzednio coś na niej pisał. Zebrawszy w ten sposób sporą paczkę listów miłosnych, podała o rozwód i otrzymała go właśnie na mocy tych z bibuł odbitych listów miłosnych. To wszystko stało w gazecie, proszę pani.

— A tobie tak się to podobało, że się aż na pamięć nauczyłaś — szydziła pani Hai.

— A czy to może być prawda? — badała Hania ciekawie.

— Może być — potwierdziła pani Hai.

— Nasz pan także ma na swojem biurku taką bibułę, na której jakby list cały był odbity — dodała Hania pozornie obojętnie.

Wpierw już odczytała potajemnie tę bibułę za pomocą lustra i przekonała się, że to był list miłosny i to w bardzo czułych wyrazach.

Pan Hai tak był ostrożny, że pisząc do Janki zmieniał pismo, aby ona nie mogła mu kiedyś grozić, że korespondencję jego opublikuje. Dla ostrożności nigdy się nie podpisywał.

Ale właśnie ta nadzwyczajna ostrożność miała się stać jego zgubą. Gdyby bowiem był używał własnego swego zgrabnego i cienkiego pisma, byłoby odbicie liche i nieczytelne; że jednak z własnego rozmysłu kreślił nadzwyczaj



Niemiecka wytwórnia filmowa „Ufa" nakręca obecnie film pt.: „Ku nowym brzegom". Główne role w filmie tym odtwarzają Zarah Leander i Willy Birgel.

wyraźne i grube litery, przeto i odbicie na bibule było całkiem czytelne.

Serce pani aptekarzowej bardzo było skłonne do zazdrości.

Wskazówki, które jej chytra Hania podała tak pozornie, niewinnie i bez żadnej intencji, padły na dobrze przygotowany grunt.

Z iskrzącemi oczyma rzekła do Hani:

— Idź do kuchni i przynieś sobie czystej wody do cebrzyka, gdyż ta jest już brudna.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedziała grzecznie Hania i posłusznie wyniosła z pokoju cebrzyk z wodą. Za drzwiami jednak stanęła i schyliwszy się patrzała ciekawie przez dziurkę od klucza. To co przez mały ten otwór zobaczyła, napełniło jej serce nieopisaną radością i satysfakcją.

Pani Hai bowiem złapała zaraz po wyjściu służącej bibułę, o której by'a mowa i położywszy przed lustro, trzymała ją tam tak, aby mogła odczytać, co na niej było odbite.

Czyni'a to z gor.czkowym pośpiechem a przeczytawszy, wydała ochrypły okrzyk.

Kochana koteczko! pisze do niej — krzyczała pani Hai — poczekaj, poczekaj! Twoja kochana koteczka popamięta mnie. Dam ja jej tak, że jej aż oczy powyłażą. Jakie czułe nazwy on ma dla tej nędznej istoty, a dla mnie, dla swej ślubnej żony, ma zawsze tylko zimne spojrzenia i obojętne słowa. Ale to będzie musiał odpokutować ten oszust, ten zdrajca!

Prędkim ruchem wyrwała z biurka ten arkusik bibuły, który męża jej zdradził i schowała go do kieszeni. Później zaczęła kląć i odgrażać się, co jej widoczną ulgę sprawiało.

Ze złośliwą uciechą przypatrywała się Hania wściekłości swojej pani, potem zupełnie cicho, na palcach wymknęła się do kuchni i śmiała się tam do rozpuku.

Stara taka była wściekła, że nawet nie zauważyła jej nieobecności, a gdy po pewnym czasie przyszła znowu, usiłowała przybrać obojętną minę, by się nie zdradzić.

Nie miała dziś ochoty doglądać służących i gderać na nie i myślała tylko o tajemniczej rywalce.

Gdyby ją była miała pod ręką, byłaby jej oczy wydrapała, ale że to było niemożliwe, więc gniew swój miała wylać na męża.

Pan Hai wrócił i zszedłszy z dorożki jak zwykle, poważny i pobożny, pozdrowił swą żonę.

Ona odpowiedziała na to bardzo uprzejmie, a'e spytała zaraz:

— Coś mi przywózł?

— Nie miałem czasu coś dla ciebie kupić — odpowiedział Hai, nie przeczuwając nic złego.

— Ale koteczce swojej pewnieś coś przywiózł? Dla koteczki pewnie starczyło ci czasu! — rzekła pani Selma.

— Nie rozumiem ciebie, moja kochana Selmo — odpowiedział Hai, jakby zlany gorącą wodą.

— Nie rozumiesz? Ja tylko pozwalam sobie robić aluzje do twojej najukochańszej — odpowiedziała pani Hai — ten słodki koteczek tak ci wrósł w serce, że nie rozumiem, jak bez niego mogłeś pojechać do Frankfurtu. A zresztą może to nawet nie prawda co ja mówię, może ona nawet była z tobą we Frankfurcie? Ależ naturalnie, jakże można bez tego aniołeczka wytrzymać dzień cały albo godzinę nawet!

Hai osłupiał, ona zaś zmieniła ton ironiczny na gniewny i syknęła:

— Ty nikczemny wiarołomco. Ty nędzniku jakiś. Ja ci dam! Teraz cię wyłapałam! Ja ci dam nauczkę, tobie i twojemu złotemu koteczkowi. Ażebyś wiedział, że mówię zupełnie serio — to masz tu zaraz na zadatek.

To mówiąc wymierzyła mu dwa głośne uderzenia w twarz.

Ten namacalny dowód gniewu jego żony wrócił mu równowagę.

— Co ci się śni? — ofuknął żonę, przezywając ją ordynarnie.

— Ty nie wiesz, szelmo jakiś! Zdemaskowałam twoją bezgraniczną, bezdenną podłość. Dowiedziałam się, że masz stosunek z jakąś dziewczyną zepsutą z półświatka.

— Zwariowałaś? — spytał Hai, udając cnotliwe oburzenie. — Jak ty śmiesz mnie tak bezpodstawnie oskarżać?

— Bezpodstawnie? Ja mam dowody na to!

— Chciałbym widzieć te rzekome dowody! — odpowiedział aptekarz groźnie.

— O nie, taka głupia nie jestem, żeby wydawać z ręki tak cenny dokument — odpowiedziała mu żona — ale mogę ci zacytować dosłownie list, któryś pisał do niej. Skrzywiwszy się straszliwie rozpoczęła czytać:

— Mój złoty koteczku! Koteczku — dodała zirytowana nie mogąc tego przeboleć. — Do takiej dziewki mówi się koteczku, a żonę z musu woła się po imieniu!

Używszy sobie tymi słowami, czytała dalej list:

Ledwie mogę godzinę wytrzymać bez ciebie, aniele mego życia!

— Ha, ha, ha' — śmiał się bezczelnie Hai — a to świetne, a to paradne! I ty myślisz, że to ja pisałem to świństwo? Nie wiesz, że baron był kiedyś tu u mnie? To on pisał!

— Kłamiesz! — krzyknęła ochrypłym głosem pani Hai — i nie uda ci się mnie oszukać. Tyś to pisał! Dowiem się, jak się ta dziewka nazywa i biada jej! Będzie ona przeklinać dzień, w którym cię poznała!

— Przysięgam ci Selmo, że jesteś w strasznym błędzie — uniewinniał się aptekarz.

— Przysięgasz krzywo — odpowiedziała zimno — mam dowody twojej winy w ręku.

To rzekłszy wyszła z pokoju zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

On patrzył z wściekłością i łamał sobie głowę nad tym, kto go mógł zdradzić. Nie przypuszczał naturalnie nawet, że takiego figla spłatał mu tak marny kawałek bibuły.

ROZDZIAŁ CIX.

Spadkobierczyni milionów i jej rywale

Piękna czytelniczko, pójdź ze mną na zamek Dornbruch do próżnej i egoistycznej hrabianki Ady.

Piękna dziewczyna uważała to sobie za osobistą obrazę, że Egon tak często wyjeżdżał.

Wprawdzie pisywał jej z drogi najczulsze listy i przywoził jej najdroższe prezenta, ale i to nie wynagradzało Adę za częstą jej nieobecność.

Ponieważ była za dumną, aby skarżyć się na Egona przed swojemi rodzicami i przyjaciółkami, zagryzała wargi i milczała, ale zły humor wi!oc nym był aż nadto, a pod tym złym humorem nikt, rozumie się więcej nie cierpiał, jak garderobiana jej Mala.

Ta jednak umiała się dziwnie zręcznie obchodzić ze swoją panią. Nie drażniła jej nigdy uporem, nie uniewinniała się, przyjmowała wszystkie niesprawiedliwe wyrzuty bez szemrania i schlebiała Adzie nieustannie w najdelikatniejszy sposób.

— Co dziś mam włożyć? — spytała Ada ziewając.

— Może jaśnie panienka rozkaże kremową suknię? — pytała się Mala. Nie każda dama może sobie pozwolić na ten kolor, ale jaśnie panience cudownie w nim do twarzy.

— Czy doprawdy? — spytała Ada niedbale.

— Baronówna Hardenfels bardzo niekorzystnie wygląda w swoim nowym kremowym kostiumie — opowiadała Mala — słyszałam jak pan porucznik von Stückradt mówił do drugiego oficera:

— Co to za nieostrożność ze strony tej małej Hardenfels, że wybrała ten sam kolor sukni co hrabianka Dornbruch!

Na to odpowiedział ten drugi pan, śmiejąc się:

To stara bajka o łabędziu i o gęsi. Upierzenie ma ten sam kolor, ale na tem też kończy się całe podobieństwo.

Wszystko było naturalnie zmyślone, ale schlebiało hrabiance tak, że aż się jej humor polepszył.

— Gdyby to Mimi Hardenfels wiedziała, to pękłaby ze złości — uśmiechnęła się hrabianka Ada.

— Czy mam to opowiedzieć jej garderobianej? — pytała się Mala.

— Ona by się wystrzegała donieść swej pani coś podobnego — zauważyła bardzo słusznie Ada — służące nie opowiadają nigdy paniom swym rzeczy nieprzyjemnych, bo to by im wyszło na niekorzyść.

Baronówna Hardenfels przygotowuje się już gorączkowo na wesele jaśnie hrabianki — mówiła Mala dalej — obstalowała już sobie toalety z Paryża, ale przepadnie ona ze swojemi toaletami obok jaśnie panienki.

Ma ona zresztą prawe ramię wyższe od lewego. Gdyby nie miała tak drogiego, paryskiego gorsetu, to ten błąd o wiele więcej byłby widoczny.

— Tak, ona stanowczo jest krzywą — potwierdziła Ada, która mimo bezgranicznej swej wyniosłości, nie widziała w tem nic złego, aby ze swą garderobianą obgadywać panie ze swojej sfery.

— Baronówna Hardenfels nie ma najmniejszego powodu być tak dumną — rozgadała się Mala — bo przecież Hardenfelsowie są nieprawego pochodzenia.

— A czym możesz poprzeć swoje twierdzenie — zagadnęła ją Ada, której przyjemnie było usłyszeć taki mały skandalik.

Mala od tygodnia już pozbyła się swej początkowej rezerwy i bawiła swoją panią opowiadaniem złośliwych historyjek.

Mają poprzeczną belkę w swoim herbie — rzekła Mala z uśmiechem — a to jest dowodem, że pochodzenie ich jest nieprawe. Zresztą czytałam w „Neue Freie Presse“ artykuł B. A. Frankla, który nie bardzo jest pochlebny dla tej rodziny.

— Przynieś mi zaraz ten numer „Neue Freie Presse“ — rozkazała Ada, której twarz dziwnie wykrzywiła się na tę przyjemną myśl, że dowie się czegoś niekorzystnego o swej przyjaciółce Mimi.

Mala odeszła, aby przynieść żądany numer gazety, a Ada chwyciwszy go do rąk zaczęła w nim czytać, że we Wiedniu w muzeum nadwornym znajdowały się wypchane cztery postacie ludzkie aż do 31-go października 1848 r. i były one wystawione na pokaz w fantastycznych strojach. Część tego artykułu brzmiała:

„Tym, którzy zwiedzali gabinet, wpadała niezmiernie w oko postać murzyna w dzikim stroju barbarzyńcy. Murzyn ten stał tam z prawą nogą cofniętą wstecz i z naprzód wyciągniętą lewą ręką. Szeroki pas z piór opasywał jego biodra, a na głowie miał koronę z czerwonych, białych i niebieskich piór. Ręce i nogi jego ozdobione były sznurami z białych szkanych paciorków a łańcuch z biało-żółtych muszelek zwisał mu szeroko na piersi.

— A cóż ten wypchany murzyn ma wspólnego z baronówną Hardenfels? — zapytała Ada.

— Jest on pradziadkiem baronównej Hardenfels — odpowiedziała Mala ze złośliwym uśmiechem na ustach — niech jaśnie hrabianka z łaski swej dalej czyta.

Z zajęciem wzięła się Ada znów do czytania i dowiedziała się co następuje:

„Jenerał książę Lobkowitz przybył w roku 1740 do Messyny i zobaczył w domu jakiejś dostojnej damy chłopca murzyńskiego, który pochodził z rodziny książęcej, ale w najwcześniejszej młodości ukradziony swoim rodzicom, sprzedany został jakiemuś katolikowi. Jenerałowi podobał się mały książę murzyński, poprosił więc o niego i otrzymał go w prezencie. Tym sposobem dostał się mały murzynek do Europy.

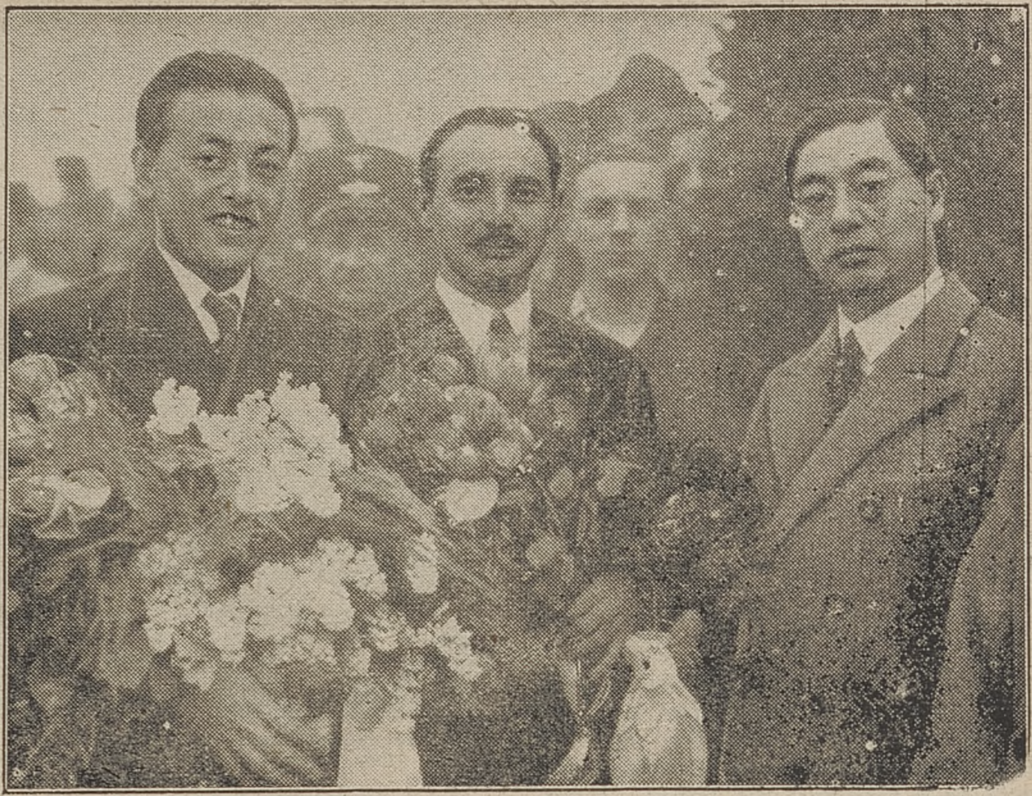
Książę Lobkowitz dał swemu pupilowi staranne wychowanie i wykształcenie, a gdy ten dorósł, uszczęśliwił go księżniczką ręką damy, która z nim dawniej w bliższych była stosunkach i uzyskał równocześnie dla murzyna, że mu pozwolono nosić nazwisko Hardenfels.

Dotąd przeczytała Ada, poczem odrzuciwszy gazetę rzekła ze złośliwym uśmiechem:

— Teraz nie dziwię się więcej afrykańskiej cerze Mimi, jest to dziedzictwo, zostawione jej przez pradziadka. Cóż się stało z tym wypchanym murzynem?

— Spalił się — odpowiedziała Mala — 31-go października roku 1848 szturmował książę Windischgrätz Wiedeń. Jego kanonierzy nie celowali szczęśliwie i zapalili pałac cesarski w tem miejscu, gdzie się znajdowały cenne skarby, biblioteka, gabinet numizmatyczny, gabinet starożytności i zbiór przyrodniczy. I te cztery wypchane mumie padły ofiarą płomieni.

— Szkoda — zawołała Ada — gdyby się pradziadek Mimi nie był spalił, byłabym mu złożyła wizytę, gdybym tylko znów do Wiednia była przyjechała. Przynieś mi kremową suknię, Malo, a



Japońscy lotnicy, którzy dokonali rekordowego lotu z Tokio do Londynu, zostali w drodze powrotnej powitani w Berlinie przez ambasadora japońskiego Muszakowi (z prawej strony).

gazetę mi tu zostaw, przeczytam ją później do końca.

— Jak jaśnie hrabianka rozkaże — odrzekła Mala, która wnet odgadła zamiary swej pani.

— Podkreśli ona zapewne ten artykuł w gazecie niebieskim ołówkiem i pośle go baronównej Hardenfels — pomyślała Mala i nie myliła się.

Tego samego dnia jeszcze wysłała Ada ten numer gazety pod adresem swej przyjaciółki, bo nigdy nie opuszczała żadnej nadarzającej jej się sposobności, aby dokuczyć komuś, gdy to było w jej mocy.

Życie jej jeden tylko miało cel: bawić się.

Ada była osobą bez serca i bez wykształcenia. Towarzystwo było jej żywiołem. W samotności nudziła się śmiertelnie.

Przelotne uczucie, które miała dla Egona, przeszło już bezpowrotnie. Schlebiało jej, że go widziała u nóg swoich i że ją uwielbiał jak bóstwo, ale byłaby tak samo chętnie widziała każdego innego młodego człowieka tego nazwiska i majątku, co baron Egon Sturmfeder.

Mala przyniosła jej żądaną suknię i pomagała jej przy ubieraniu.

— Czy słyszałaś już o tem, że ta egzaltowana dziewczyna z leśniczówki uciekła znów od swoich rodziców? — zapytała hrabianka. — Pokojówka mamy opowiadała mi o tem całą długą historię.

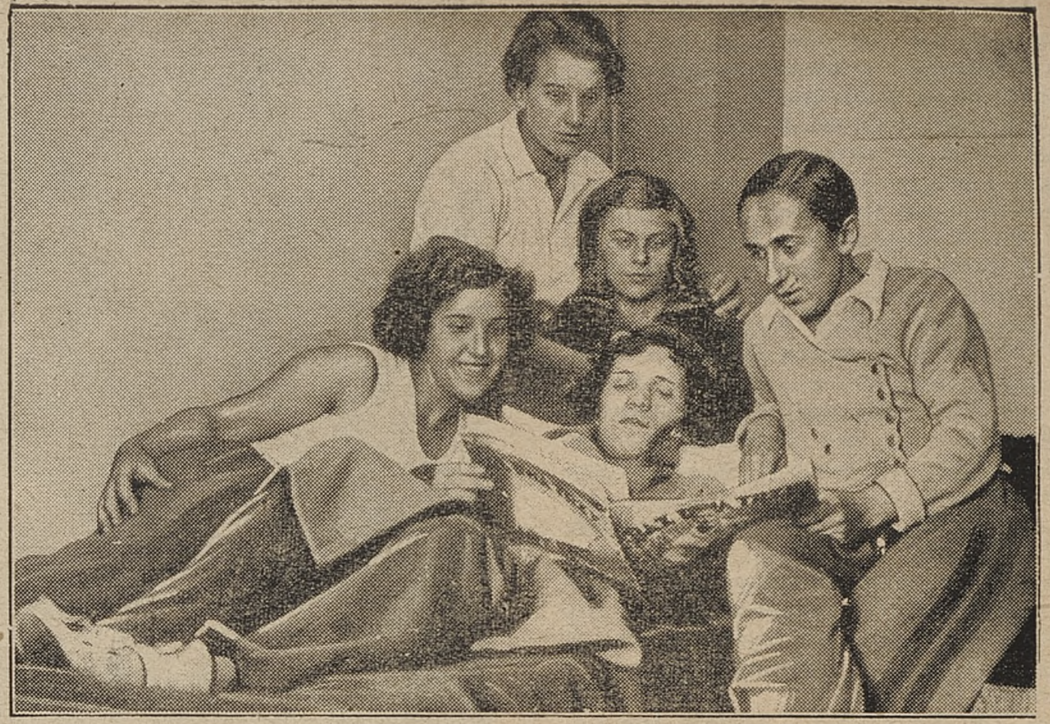
— Panna Sylwia Herbert znikła? — zapytała Mala blednąc.

Nie zapomniała, że Sylwia była kiedyś dla niej bardzo dobrą i współczującą i myślała o niej często z wdzięcznością.

— Ty, Malo, zawsze tak dobrze wiesz o wszystkiem, że i o tej całej historii będziesz dobrze poinformowana — ziewnęła Ada.

— Nie, po raz pierwszy o tem słyszę — odpowiedziała Mala zastraszona — a czy nie wiedzą, gdzie się panna Herbert podziała?

— Czy byłabyś taka głupia, aby sobie wziąć do serca zniknięcie tej osoby? — szydziła hrabianka — Bóg wie z jakim chłystkiem ona się tam po Wiedniu uwija! Znamy się na sztuczkach takich osób. Ona chce w ten sposób nabyć rozgłosu, że znika dobrowolnie z horyzontu na czas jakiś, a rodzice jej, którzy z nią są w spisku, biją na alarm. Te chytre jej sposoby przywodzą mi na myśl manipulację aktorek, które się podobnie przypominają publiczności, jeśli o nich nie dość mówią i piszą. Ogłaszają one po wszystkich gazetach, że skradziono im wszystkie klejnoty, które zawdzięczają łasce dostojnych ludzi, albo też umiera im ojciec lub matka, lub oboje razem i tuzin sióstr i braci, pod nadzwyczaj smutnemi okolicznościami. Przy czym sądzą one, że publiczność bardzo słabą ma pamięć, bo we cztery tygodnie później pojawia się znów łokciowo długi artykuł, opisujący, że panna H. albo Z. pielęgnowała swą matkę ze wzruszającym poświęceniem i że tylko staranna ta pielęgnacja uratowała życie drogiej jej matki.



Ostatnio wydarzył się niezwykły wypadek przeobrażenia się kobiety w mężczyznę. Wypadkowi temu uległa znana polska sportsmenka — Smętkówna. Na zdjęciu Smętkówna jeszcze jako dziewczyna (z prawej strony), w środku Walasiewiczówna, obok niej uśmiechnięta Kwaśniewska.

Rodzice tych ludzi posiadają cudowny dar umierania i zmartwychwstawania przy stosownych okazjach.

Mala śmiała się z opowiadań swej pani, ale śmiech jej miał coś wymuszonego, a myśli jej były przy Sylwii.

Dlaczego baron był teraz tak często w podróży? Musiał mieć ważne ku temu powody! Te częste jego wyjazdy musiały być w związku ze zniknięciem Sylwii. Jeśli się jej chciał pozbyć, to musiał mieć bardzo ważną przyczynę!

Tą przyczyną mogło być tylko to, że Werner jeszcze żyje i że Egon się obawia, że Sylwia odnajdzie miejsce jego pobytu.

Mala postanowiła dowiedzieć się osobiście w leśniczówce, jak się rzeczy mają i aby to móc urzeczywistnić, poprosiła o mały urlop.

— Woda do twarzy, którą jaśnie hrabianka zamówiła z Paryża nie jest dobrą — rzekła poważnie — czy wolno mi wyrazić obawę, że...

Ale Ada nie dała jej dokończyć zdania, lecz przerwała jej:

— To świństwo psuje mi cerę tak, że miałabym wielką chęć zaskarżyć za to tego oszusta fabrykanta. Byłoby to okropne, gdybym się w dzień ślubu przez jego miksturę zeszpeciła. Popatrz dobrze, Malo. Prawda, że dostaję już brzydkie plamy na twarzy?

— Ależ, broń Boże! — zawołała Mala, z dobrze udanym przestrachem — plam nie ma, tylko cera jaśnie hrabianki nie jest taka nadzwyczaj piękna, jak zwykle.

— Trzeba mi to było pierwej powiedzić — rzekła hrabianka ostro i gniewnie. — Nim sprowadzimy środek ten z Paryża, upłynie ze cztery dni, to znaczy, że za późno nadejdzie. Nie można się na ciebie tak łatwo spuścić, jak na dawne moje garderobiane, Malo. Gdy pomyślę, jak mało masz u mnie do czynienia, to muszę się dziwić, że byłaś tak nieostrożna i lekkomyślna i żeś pierwej na to nie zwróciła uwagę. Jeśli w dzień mojego ślubu jak najobrzydliwiej będę wyglądała, to będzie to li tylko twoja wina.

Z anielską cierpliwością wysłuchała Mala całego tego potoku słów, a gdy pani jej wreszcie skończyła, zapytała pokornie:

— Za pozwoleniem jaśnie panienki, ale środek, o którym mówiłam, nie potrzebuje być sprowadzany z Paryża. Jest to zwykły środek domowy.

— To też pięknie będę wyglądała — odpowiedziała Ada pogardliwie, bo dla niej miało tylko to pewną wartość, co z za granicy przychodziło.

— Jest to wyborny środek — zapewniała Mala.

— A co to jest? — spytała Ada ciekawie.

— Jest to świeży łój jeleni, który się nasmarowuje na płótno i nocą na twarz nakłada — tłumaczyła jej Mala.

— Czyś ten środek już wypróbowała — spytała Ada ostro, obrzuciwszy zazdrosnym wzrokiem lśniąco białą i delikatną cerę swej panny służący.

— Tak — odpowiedziała Mala bez wahania, mimo, że to nie było prawdą.

— A czy ci pomogło? — badała Ada.

— Wybornie — zapewniała Mala.

— A więc postaraj mi się niezwłocznie o świeży łój jeleni — rozkazała Ada.

— Jeżeli jaśnie hrabianka pozwoli, to pójdę po to sama na leśniczówkę do Königswalden — rzekła Mala swobodnie.

— Hm — mruknęła Ada zamyślona — gdybyś zechciała tam i z powrotem pójść piechotą, to potrwałoby ze cztery godziny, a tak długo nie mogę się obejść bez twojej usługi. Poślemy więc parobka po to.

To jednak krzyżowało plany Mali.

— Ten głupi parobek piękną plotkę z tego zrobi! — rzekła pogardliwie — opowie to swoim kolegom, a za kilka dni będą wszyscy panowie w okolicy wiedzieli, że jaśnie hrabianka używa środków upiększających.

Ciąg dalszy na str. 357.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

SPOTKANIE

W piękny wiosenny wieczór,
gdy księżyc świecił na niebie —
usiadłem strudzony pod drzewem
i tęskniąc — czekałem na Ciebie.

Przyszłaś — by znowu odejść
i mnie zostawić w rozsterce —
bo miłość szczera jest piękna,
lecz dziwne jest ludzkie serce —

Bo zamiast cieszyć się szczęściem,
mówimy o rozstaniu......
i tylko jątrzymy rany
naszych serc rozkochanych — —

Szczęśliwi będziemy wówczas,
gdy razem pójdziemy w życie...
razem z tym słonkiem promiennym,
co płonie na błękicie.

A gdyby los chciał inaczej —
przestrzenią nas rozdzielając — —
pozdrawiać Cię będę wierszem,
w pamięci Twój obraz mając...

Jan Feliks Płóciennik.

PODRÓŻ Z PRZYGODAMI

„Ikar III." i *„Jesion"* nadesłali mi w tych dniach interesujący opis swej podróży z Szubina do Środy. Niżej przedrukowuję go:

„Korzystając z zaproszenia jednej z miłych Czytelniczek „Moich Powieści" i gorącej entuzjastki „Krainy", wybraliśmy się w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, w okolice Środy. O godzinie 14 wyruszyliśmy z Szubina w kierunku Żnina, gdzie przyjaciel mój, „Jesion", chciał zobaczyć choć z dala gmach wydawnictwa „Moich Powieści". Po zaspokojeniu jego ciekawości ruszamy przez Gąsawę, Rogowo do Gniezna, dalej przez Kostrzyń do Środy.

W Kostrzyniu, nie znając dalszej trasy, zapytałem się miłej panienki, stojącej na stopniach kawiarni, o dalszą drogę.

— O do Środy jeszcze daleko! Radzę panom napić się kawy na drogę!

Posłuchaliśmy życzliwego zaproszenia i weszliśmy do lokalu. Przy filiżankach aromatycznego napoju zdaliśmy sobie sprawę, jak poważnie spóźnimy się z zapowiedzianą na godz. 14-tą wizytą, skoro mamy już 17-tą. Szybko też opuściliśmy przytulną kawiarenkę w Kostrzyniu i jazda do Środy!

Panna Janeczka, oczekująca nas od kilku godzin, zwątpiła już w nasze przybycie. To też nie szczędziła nam wymówek, gdy przybyliśmy. Wytłumaczyliśmy się jakoś i po chwili wywiązała się interesująca rozmowa o „Krainie", o p. Zofii, wreszcie przeszliśmy na tematy więcej osobiste. Nie spostrzegliśmy się, jak wybiła godzina duchów. Na powrót do Szubina była to pora nieco spóźniona, zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę panujące ciemności, przeto ulokowaliśmy nasze czcigodne osoby w hoteliku, w Środzie.

Rano, a raczej przed południem, wstaliśmy wypoczęci i zdrowi, jak rydze. Wkrótce motocykl niósł nas w kierunku Wrześni i Gniezna. W Gnieźnie znaleźliśmy się pod wieczór. Ku memu niezadowoleniu przyjaciel mój uparł się zjeść tutaj obiad. Zgodziłem się jednak na to!

Po chwili pędzimy znowu na łeb na szyję do Rogowa. I tutaj właśnie rozpoczyna się nasza tragedia. Motor nasz zakrztusił się, zaczął dyszeć, jak suchotnik, potem wydał ostatnie tchnienie i... ucichł.

Nastąpiło rozbieranie i rozkręcanie maszyny i po godzinnej męczarni stwierdzenie, że zepsutej części nie zdołamy naprawić. Ruszamy więc pieszo w stronę Gąsawy. Jest ciemny wieczór. Przyjaciel mój prowadzi z rezygnacją motocykl, ja zaś pcham go z tyłu klnąc, jak typowy marynarz. Tak wśród egipskich ciemności przemaszerowaliśmy parę kilometrów i nagle, o radości! — światła! To Złotniki!

Z drżeniem serc pukamy do napotkanego dworku. Otwierają się drzwi i wychodzi jakiś pan, jak się później okazało zarządca majętności Złotniki, p. Luwecki. Opowiadamy naszą tragedię. W odpowiedzi p. Luwecki ofiarowuje nam swoją gościnę. Gawędzimy z nim długo, paląc papierosy.

Wreszcie zmęczeni zasypiamy w naszej przygodnej sypialni. W nocy męczą nas przeróżne widziadła w postaci zepsutych motocykli, samochodów i samolotów.

Nazajutrz, przy pomocy miejscowego kowala i szofera, naprawiliśmy motocykl i ruszyliśmy w drogę, dziękując p. Luweckiemu za gościnę.

Do Szubina przywieźliśmy z sobą moc niecodziennych wrażeń z naszej niefortunnej wędrówki.

MOŻE KIEDYŚ...

„Nr. 703". Kim jestem? Doprawdy trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Zna mnie przecież Pan dobrze, z odpowiedzi w „Krainie". W rzeczywistości jestem taką samą!

Jeżeli zaś chodzi o szczegóły mej powierzchowności: włosy, oczy i usta, to zapewniam Pana, że to temat nieciekawy i mało ważny. Wolałabym go więc nie poruszać i przejść odrazu do innych spraw.

Przede wszystkim do szczerego podziękowania za bardzo sympatyczny list. Odbił się on w moim sercu jak najmilszym echem.

O morderstwie, o którym Pan wspomina, nie czytałam, gdyż z zasady omijam kronikę zabójstw, kradzieży itp. przestępstw.

Może kiedyś sprawy urzędowe zapędzą Pana i w okolice Żnina, więc proszę, niech Pan odwiedzi naszą redakcję. Wówczas porozmawiamy szerzej na temat: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło", bo tutaj, na łamach „Krainy", byłoby trudno wyczerpać tę myśl. Kończąc odpowiedź pozdrawiam Pana jak najserdeczniej!

W CHWILACH NAJWIĘKSZEJ NOSTALGII...

„Marzenka". Chciałabym zaskarbić sobie przyjaźń Pani, za nim opuści Pani Polskę i wyjedzie do Kalifornii. Pewna bowiem jestem, że tam, za oceanem, tęsknota za bratnią duszą spotęguje się u Pani i w chwilach największej nostalgii, zapragnie Pani napisać do kogoś życzliwego z dalekiej Ojczyzny. Wówczas może Pani napisać śmiało do mnie lub do Sympatyków „Krainy". W listach do nas może Pani dać wyraz swej tęsknocie, wypowiedzieć w nich swój żal i donieść nam, jakie przejawy ma życie tam, na drugiej półkuli świata. Listy Pani napewno przeczytamy z zainteresowaniem i odpowiemy na nie jak najserdeczniej.

Powyższe zdanie, przypuszczam, potwierdzą Sympatycy, którzy napiszą do „Marzenki" jeszcze przed Jej wyjazdem z kraju?

W celu bliższego poznania i spełnienia obecnych cichych życzeń „Marzenki", przedrukowuję krótki fragment Jej liściku:

„Mieszkam w małym miasteczku i czuję dziwne osamotnienie. Prawdopodobnie dla tego, że brak mi szczerej przyjaźni. Dużo dałabym za to, aby wypełnić tę pustkę wartościową korespondencją.

Jestem miłą czarnulką o wrażliwym sercu. Liczę lat 20. Dotychczas kochałam pracę, bo tylko ją jedną ceniłam i przekładałam nad wszystko inne. Jestem trochę muzykalną, ale tylko trochę.

Zasyłam wszystkim Nieznanym dużo uśmiechów".

W DWÓCH WROGICH OBOZACH WRE ZACIĘTA WALKA!

„Róża Południa". Fotografię Pani zamieścimy bardzo chętnie. Czekam więc na list i na zdjęcie!

Jak dotychczas, projekt „Solidnego II", nie znalazł żywszego poparcia. Natomiast w dwóch wrogich obozach, które powstały onegdaj w „Krainie", wre zacięta walka. Szala zwycięstwa stale się przechyla — raz na tę, drugi raz na tamtą stronę. Finał narazie nie przewidziany!

Ślę Pani przyjazny uścisk dłoni i oddaję Jej głos:

„Lusi — Szczebiotce" dziękuję za pozdrowienia i może napiszesz do mnie, „Lusiu"?

„He — Cze — Sem"! Dziękuję Panu również za pozdrowienia i wyrażam ochotę nawiązania z Panem korespondencji.

„Stachowi z pod Żnina", „Jankowi z Pelplina", „Rewelersowi", „Bydgoszczance" i „Róży bez woni", ślę pozdrowienia i prośbę o listy".

„NIE JESTEM ANI PIĘKNYM, ANI BOGATYM"...

„Marzący Sfinks". Jak najserdeczniej dziękuję Panu w imieniu całego zespołu redakcyjnego, za sympatyczne podejście i liczne słowa uznania.

List Pana, miły i ogromnie szlachetny, oddaję do przedruku. Pewna jestem, że odbije się on jak najżywszym echem w sercach „Kraniaków".

„Od dawna jestem cichym członkiem „Krainy", ale ostatnio postanowiłem należeć do niej oficjalnie. Czuję pustkę w życiu. Mieszkam sam, poza domem rodzinnym i nie mam nikogo, z kim mógłbym dzielić się smutkami i radościami dni codziennych. W nadziei, że w „Krainie" znajdę bratnią duszę, apeluję do wszystkich, którzy pragną prawdziwie szczerej przyjaźni i tęsknią za cichym szczęściem — aby napisali do mnie, podali mi bratnią dłoń do uścisku, a nie pożałują tego.

Jestem blondynem o wysokim czole, wzrostu 175 cm. Mam lat 24 i jestem skromnym urzędnikiem państwowym — podchorążym rezerwy. Mam gołębie serce, które jest moją dumą. Nie potrafię szafować uczuciami i dlatego prawdopodobnie mam mało znajomości. Nie jestem ani pięknym, ani bogatym, ale mam duszę, która dodaje mi uroku i charakter, który jest moim bogactwem. Cenię nade wszystko zalety duchowe człowieka. Tęsknię za sercem podobnym do mego i wierzę, że je znajdę —, a z nim ciche szczęście, o którym marzę. Kto odważy się pierwszy do mnie napisać?

Dla całego zespołu „Krainy" ślę najserdeczniejsze pozdrowienia z nad polskiego morza".

KTO POŻYCZY KSIĄŻKĘ?

„Kameleon II". Wiadomościami, zawartymi w ostatnim liście Pani, byłam zdumiona. Widzę, że poinformowano Panią źle, dlatego postanowiłam te błędne informacje nieco sprosto-

wać. Otóż nazwisko moje zgadza się, ale wszystko inne to... fantazja. Z kolei wprawiłam i Panią w zdumienie, prawda?

Fotografię Pani zamieszczę wkrótce!

Ślę Pani dużo pozdrowień i prośbę o nowy, obszerny list.

„Kameleon II" apeluje:

„Hallo! „Solidny Ślązaku"! Dziękuję Ci za pozdrowienie i wzamian ślę promienny uśmiech. Może podyskutujemy z sobą?

P. P. Smerd. — uparciuch z Pana! Jeszcze się namyślę!

P. J. Arendt z Sz. — Dziękuję za list, wkrótce odpowiem!

Na zakończenie: który z Sympatyków lub która z Sympatyczek zechce pożyczyć mi książkę pod. tyt.: „Lukrecja Borgia"?

Wszelkie wiadomości dla mnie proszę kierować na poste — restante, Śrem, (dla „Kameleona II".)

„W ŻYCIU NIE DOZNAŁAM JESZCZE PRAWDZIWEJ RADOŚCI"...

„*Stęskniona Dziutka*". Za prześliczny wierszyk — całuję mocno buzię, do „Krainy" przyjmuję z ochotą i pozwalam Pani wypowiedzieć się swobodnie z swoich smutków i radości:

„Mieszkam w cichym miasteczku na Pomorzu. Jest mi tutaj bardzo smutno, gdyż nie mam żadnego towarzystwa. Życie moje płynie z dnia na dzień wesoło, częściej jednak smutno. W życiu nie doznałam jeszcze prawdziwej radości. Tęsknię i marzę o szczęściu, chociaż nie wiem, czy ono kiedyś przyjdzie do mnie.

Pragnęłabym za pośrednictwem p. Zofii poznać kogoś miłego i otrzymywać ciekawe liściki, które urozmaiciłyby moje szare dni.

Kończę i marzę cichutko, aby ktoś z „Krainy" napisał szybko do „Stęsknionej Dziutki".

SAMOTNOŚĆ

„*Osamotnione Stworzonko*". Musiała Pani nie co poczekać na odpowiedź, gdyż liścik Pani znalazł się na wierzchu olbrzymiego stosu innych listów i musiał cierpliwie czekać na swoją kolej. Ale wreszcie doczekał się. Część tego listu przedrukowuję:

„Halo! „Osamotnione Stworzonko" chce położyć kres swej samotności i znaleźć w „Krainie" kogoś życzliwego i oddanego. Jest szatynką, mieszkanką stolicy Pałuk".

Na powyższy apel zwracam uwagę wszystkich miłych Pań i Panów, zgromadzonych w „Krainie". I proszę gorąco, w imieniu „Osamotnionego Stworzonka", o pamięć. Samotność to przykra towarzyszka życia, a więc zlikwidujmy ją i zastąpmy naszymi listami. „Osamotnione Stworzonko" napewno nam się za to odwdzięczy".

„TAK MI BRAK KOGOŚ BLISKIEGO"...

„*Fakir*". Sprawę, dotyczącą wysłania numerów okazowych, poleciłam załatwić administracji. Co do legitymacji prasowej i przyjmowania korespondentów — nie mogę dać Panu wyczerpującej odpowiedzi. Najlepiej będzie, gdy zwróci się Pan po informacje bezpośrednio do redakcji I. K. P.

A teraz kilka słów od Pana:

„Miłym Dziewczynkom z „Krainy", które przysłały „Fakirowi" pozdrowienia — uściski dłoni i serdeczne podziękowanie.

„Kochanie"! Czy bywa Pani w „Cafe George"? Może się tam kiedyś spotkamy?

„Banialuce" i „Łowcy Przygód" — przyjemności w korespondencji!

Tak brak mi kogoś bliskiego — może więc ktoś do mnie napisze? Mam w sobie młodość, spojrzenie jasnych oczu i duszę pełną marzeń..."

DLA PRZYWIĄZANYCH SERCEM I DUSZĄ DO ROLI

„*Elżunia z pod Chełmna*". Chciałabym, aby nie zawiodły Panią nadzieje we mnie pokładane. Spełnienie Pani marzeń, będzie dla mnie radosną satysfakcją i podnietą do tym intensywniejszej pracy w „Krainie".

A teraz kim Pani jest?

Jak wskazuje pseudonim — Pomorzanką. Mieszka Pani na wsi i kocha Pani ziemię. To co związane ze wsią i ziemią interesuje Panią — nawet korespondencję pragnie Pani nawiązać z Sympatykami ze wsi, przywiązanymi sercem i duszą do roli.

Czy uda się? — Napewno, Droga „Elżuniu"! Dla ułatwienia korespondencji podaję Pani adres: poste — restante, Chełmno (Pom.), (dla „Elżuni z pod Chełmna".)

DOBRO I ZŁO

„*Nie — biedna*". „Dla drugich miałam zawsze uśmiech i miłe słowa, za które otrzymywałam w podzięce — gorzki chleb".. pisze Pani. Jakże często czytam podobne zdania! Tak często, że nawet nie próbuję ich tłumaczyć. Tak widocznie musi być! Dobro musi stale zmagać się ze złem, aby przez to „pierwsze było potężniejsze i kontrastowo nabierało jak najwyższej wartości.

„W nagrodę jednak za twardą szkołę życia, jestem obecnie zadowolona i spokojna o mój byt"... pisze Pani dalej. Z słów tych wynika, że i u Pani dobro zwyciężyło zło, a wytrwałość w walce, dała Pani pełną satysfakcję. Warto więc było zacisnąć pięści, prawda?

Ślę Pani moc serdeczności i pozdrawiam w imieniu Pani: „Syma", „Zdobywcę Serc" i „Maryszka".

ŻYCZENIA

„*Przedwiośnie*". Dobrze, ściskam mocno paluszki „na szczęście" i życzę z całego serca szczęśliwego przejścia przez niepokojącą bramę i radosnego spojrzenia na świat — ten z poza bramy. Czekam cierpliwie na pomyślne wiadomości i ślę Ci, Kochana Dziewczynko, słowa otuchy w dobre zakończenie sprawy.

List wysłałam. Komunikaty zamieszczam:

„Złocisty Promyczku", mam dla Ciebie moc sympatii. Może prześlesz mi kilka słów? Ściskam mocno łapięta!

„Rewelersowi" — moc słonecznych uśmiechów i pozdrowień!

„Małą Konwalijkę" mocno ściskam. Pomimo, że Cię nie znam „Dobra Siostrzyczko", strasznie Cię lubię".

UWAGA — „GÓRALKO Z POD KLIMCZOKA"!

„*Ar*" donosi: „Wszystkim tym, którzy napisali mi kilka miłych słów — bardzo dziękuję! Tak samo za wiersze i dobre chęci sprawienia mi przyjemności, co Im się w zupełności udało.

Chciałabym bardzo nawiązać kontakt korespondencyjny z „Góralką z pod Klimczoka". „Klimczok", „Magórkę", jak i całą część Beskidów znam doskonale, przypuszczam więc, że korespondencja z „Góralką" będzie miała bardzo ożywiony bieg. Czekam na jakikolwiek znak ze strony „Góralki".

BYNAJMNIEJ...

„*Brzydka i smutna Irka*". „Jestem blondynką, ale bardzo brzydką. Co mam robić na to? Martwić się?..."

Bynajmniej, Droga „Irko"! Nieładna twarz nie razi nigdy u człowieka, jeżeli opromienia ją dobroć i łagodność, razi tylko brzydki charakter.

W nawiązaniu korespondencji pośredniczę P. z przyjemnością.

Halo! „Młody Orle"! Zapewnie lubisz korespondować, więc... napisz do „Smutnej Irki", która się Tobą interesuje i radaby nawiązać z Tobą wymianę myśli.

To samo dotyczy i „Sportowca".

PROSZĘ PRZYJĄĆ...

P. A. K. z B. Kiedyś, chciałabym, podobnie, jak Pan, umieć spojrzeć w twarz Niezbadanej Tajemnicy — oto refleksja, jaka nasunęła mi się podczas czytania listu Pana.

Proszę przyjąć ode mnie siostrzany uścisk dłoni. Modlę się i myślę często...

Teczka Wujka Janusza

WIATR WIOSENNY...

Minęła północ... Miasto w mroku tonie,
Nad światem księżyc króluje promienny...
Patrzę w dal, wsparłszy na oknie swe dłonie,
A lekkim chłodem ścina moje skronie
Wiatr wiosenny...

Wiem, że cię miłość moja mało wzrusza,
Że w serca nasze wdarł się ból wzajemny...
Zatem i smutkiem napełnia się dusza,
A oczy moje z gorzkich łez osusza
Wiatr wiosenny...

W takie samotne noce długo piszę,
Temat mi daje wir życia codzienny...
Czasem szum liści przerwie nocną ciszę,
Gdy za mym oknem drzewem zakołysze
Wiatr wiosenny...

Mieczysław Grzegorski.

NIE ZDĄŻYŁEM ZAMIEŚCIĆ!

„*Maleńka Dzidzi*". Dedykacji nie zdążyłem zamieścić, gdyż w chwili, gdy otrzymałem liścik Pani — okładka „Moich Powieści" już była gotowa. Pozdrowienia zamieszczam! A więc „Maleńka Dzidzi" „wszystkim tym, którzy są pod pantofelkiem pięknej Królowej Wiosny i podziwiają Jej urok, śle wiele serdecznych myśli...

Dziękujemy, Droga „Dzidzi"!

„Nieznośny Wujaszek" zaś dziękuje jeszcze raz — osobno — i za pozdrowienia i liścik, utrzymany od początku do końca w prawdziwie wiosennym tonie. I ten sam wujek z niecierpliwością czeka na nowy list od „Dzidzi", którą bardzo, bardzo serdecznie pozdrawia.

WOLAŁBYM...

P. Karol W. Łódź. Czuję, że zawiódł się Pan w swoich nadziejach pisarskich, gdyż nadesłane nowele wskazują raczej na to, że powinien Pan uczyć się ortografii, niż marzyć o wawrzynach literackich. Ta moja nieco przykra prawda, może usposobi źle Pana do mnie, chociaż wolałabym, aby tak nie było, bo przecież chodzi mi tylko o sprowadzenie Pana z błędnej drogi, na której spotykałyby Pana niezliczone upokorzenia i zawody. Życzę sobie gorąco, aby Pan to zrozumiał i napisał do mnie jeszcze raz. Pełen oczekiwania ślę Panu miłe pozdrowienia.

W WIERSZACH ZA DUŻO SENTYMENTALIZMU

„*Jola*". W wierszach Pani jest za dużo sentymentalizmu, nie chciałbym więc ich zamieszczać. Może napisze Pani coś mniej gorącego i kwiecistego, a wzamian więcej trzeźwego i istotnego? Pewny jestem, że wówczas utwory Pani zamieściłbym bez wahania.

Łączę serdeczny uścisk dłoni!

NAJLEPIEJ...

„*Te — Em*". Wiersze tego rodzaju, jak nadesłany ostatnio przez Pana, noszący tytuł — „Kocham twe wiersze", nie nadawają się do druku. Najlepiej przesłać je listownie osobom którym są poświęcone. Łączę miły uścisk dłoni!

Raj kobiet

Kobiety w Albanii odkryły twarze

Przed kilkoma tygodniami wyszedł w Albanii dekret zakazujący kobietom nosić zasłony, które dotychczas zakrywały im twarze. Wprawdzie w górskich wsiach albańskich kobiety nie zasłaniały twarzy, ale w miastach zwyczaj zakrywania twarzy przywieziony z Turcji tak się przyjął, że nietylko muzułmanki, do których się bezpośrednio odnosił, ale nawet katoliczki nie wychodziły na miasto z odkrytymi twarzami. W Skutari na przykład katoliczki ukrywały twarze za gęstą woalką, która była pewną odmianą zasłony.

Albanki przyjęły z radością nowy dekret, ale same przyznają, że w pierwszych dniach gdy pokazały się na ulicach bez zasłon, czuły się bardzo skrępowane. Pani Naszy, żona jednego z wyższych urzędników albańskich, podczas rozmowy z dziennikarką angielską, podzieliła się z nią swymi wrażeniami, jakie odniosła podczas pierwszego „odkrytego" wyjścia na ul. Rozmowa toczyła się w „kobiecej" części domu pani Naszy. Pomimo zakazu noszenia zasłony, nietykalność tego współczesnego haremu jest ściśle przestrzegana. „Kobiecej" części albańskiego mieszkania nie może przekroczyć żaden obcy mężczyzna.

Pani Naszy pochodzi z bardzo dobrej rodziny albańskiej. Gdy skończyła 12 lat, odebrano ją ze szkoły i od tej chwili musiała nosić zasłonę. Mając 16 lat, wyszła za mąż. Do dnia ślubu nie widziała męża — zeswatali ich krewni. Ślub odbył się według wszelkich wymogów tradycji. Jeden z obyczajów nakazuje młodej małżonce w ciągu 8 dni opowiadać wszystkim znajomym, jak jest nieszczęśliwa i jawnie okazywać swą rozpacz. Po tym terminie powinna dopiero „przyzwyczaić się" do swojego nowego życia. Obyczaj ten jest przestrzegany po dzień dzisiejszy, pomimo że dzięki małżeństwu dziewczęta zyskują pewną większą swobodę, z której nie korzystały w domu rodzicielskim.

Pani Naszy liczy obecnie 25 lat i od 13 lat nie wychodziła na ulicę bez zasłony.

— Gdy po raz pierwszy wyszłam na ulicę bez zasłony, czułam się tak, jak gdybym była naga — opowiedziała dziennikarce. — Zdawało mi się, że spojrzenia wszystkich mężczyzn są utkwione we mnie.

Obecnie nieprzyjemne to uczucie znika i pani Naszy przyzwyczaiła się do swobody. Pani Naszy jest przekonana, że dekret zakazujący noszenie zasłon przyczyni się nie tylko do podniesienia godności kobiecej Albanek, ale pozwoli im również zwracać większą uwagę na swój wygląd zewnętrzny.

— Teraz będziemy się porządnie ubierały — oświadczyła. — Przed tym mogłyśmy wyjść na ulicę w byle czym. Suknia i płaszcz były ukryte pod zasłoną i wielką togą otulającą nas od stóp po szyję. Nie zwracałyśmy uwagi nawet na to, że zasłona i toga były stare. Pod nimi nikt nas nie mógł poznać, a co za tym idzie krytykować naszej toalety. Teraz czasy się zmieniły, będziemy musiały myśleć o naszym wyglądzie zewnętrznym.

DOBRA GOSPODYNI

Jaja sadzone na śmietanie. Zasmażyć pół łyżki masła z ćwierć łyżką mąki na biało, rozprowadzić kwaśną śmietaną, dodać pół łyżeczki Maggi i trochę soli i wpuszczać ostrożnie po dwa całe jaja licząc na jedną osobę. Gdy się białka zetną, obwinąć rondelek w białą serwetę i podać do stołu.

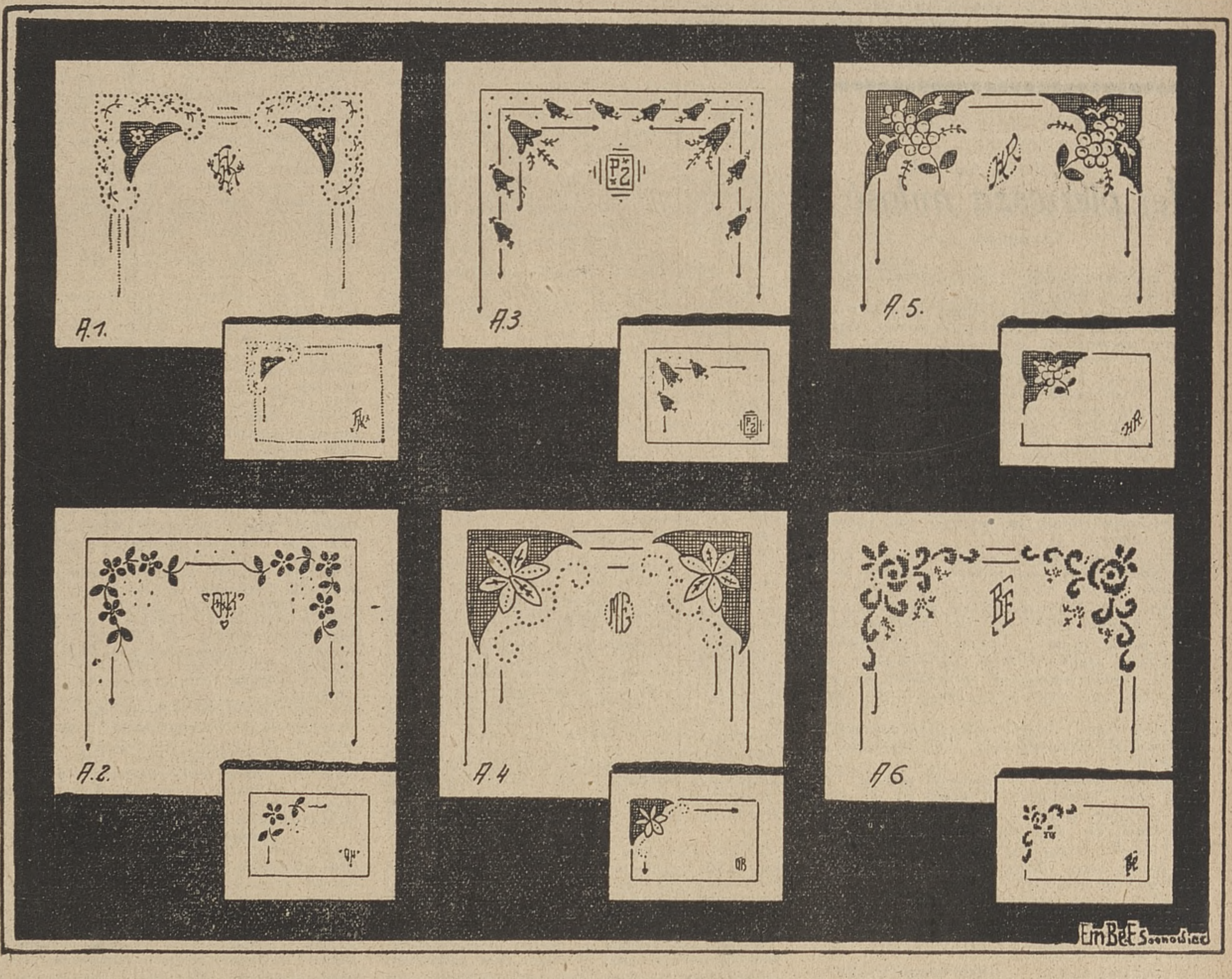
Jaja sadzone na bulionie. Rozpuścić w rosole kawałek bulionu i jeśli jest za mało zawiesisty, podprawić pół łyżką mąki kartofanej, którą rozetrzeć z kawałkiem świeżego masła. Usmażyć w formie od dołków kilka jaj, uważając, aby się tylko białka ścięły, gdy gotowe wylać sos na półmisek, włożyć w niego jajka i posypać po wierzchu siekaną pietruszką.

Jajecznica z szparagami. Ugotować w słonej wodzie dodawszy dwa kawałki cukru, kilkanaście szparagów, które skrajać tylko do połowy od góry. Usmażyć jajecznicę jak zwykle z dobrze rozbitych jaj, mieszając ciągle na wolnym ogniu, aby równo zgęstniała, a w ostatniej chwili wlać dwie łyżki surowej śmietanki, wrzucić ugotowane końce szparagów i kawałek deserowego masła, wymieszać dobrze i wyłożyć na półmisek, obłożywszy ją naokoło grzaneczkami usmażonymi z bułki.

Omlet z szynką. Omlet ten można przyrządzać w dwojaki sposób. Albo usiekać drobno kilka plasterków szynki lub ładnych okrawków z szynki i wymieszawszy z ubitymi jajami usmażyć omlet jak poniżej, albo szynkę pokrajać w drobniutkie paski lub kostkę i rozgrzawszy ją, zawinąć do środka do usmażonego już omletu.

Omlet przyrządza się w następujący sposób:

5—6 jaj posolić i rozbijać przez parę minut miotełką, wlać na rozpalone masło na patelni (masła powinno być niewiele, tylko tyle, aby cała patelnia była nim oblana) nie mieszać wcale, bo przywrze do patelni, lecz gdy się trochę od spodu przysmaży, odchylać nożem lub łopatką do koła brzegi omletu zlewając pod spód rzadkie jaja i smażyć na silnym ogniu, aby się omlet z pod spodu szybko przyrumienił, a na wierzchu pozostał pulchny i miękki. Kto



Bardzo piękne wzory toledo na poduszki i jaśki. Wzory te można nabyć w naszej administracji w cenie 1,50 zł za jeden komplet, który stanowi jedna duża poduszka i jasiek. Wzorów za zaliczką nie wysyłamy!

chce mieć omlet pulchniejszy, można dodać do rozbitych jaj jedną lub dwie łyżki śmietanki albo mleka. Zdjąwszy omlet z ognia zawinąć szybko nożem lub łopatką jedną i drugą stronę na wierzch i podważywszy naokoło, próbując, czy nie przywarł do spodu, przyłożyć półmisek lub talerz i wyrzucić go odwróciwszy patelnię do góry dnem. Do omletu dobrze mieć specjalną płaską, niską a szeroką, białą, żelazną patelnię.

Ze świata

Konkurs klubów blagierów

W mieście Birlington w Stanach Zjednoczonych A. P. istnieje „klub blagierów". Niedawno klub ten urządził konkurs na najbardziej pozbawione prawdy opowiadanie. Konkurs wygrała Gale Barnhous, żona farmera z Folwerville, opowiedziawszy następującą historyjkę:

„Do naszego miasteczka przyleciał komar, który rósł z godziny na godzinę i koniec końców zaczął odżywiać się bydłem. Zjadał całe sztuki, ogromne krowy i woły. Wreszcie rzucił się na starego muła którego pożarł żywcem. Muł skakał we wnętrznościach komara, przebił mu kiszki i wskutek tego komar ku wielkiej radości całego miasta zdechł".

Drugą nagrodę dostał Roman Links z San Francisco. Opowiedział co następuje:

„Niedawno w moim rodzinnym mieście była taka mgła, że trzeba ją było krajać nożami. Wtedy przyszedł mi do głowy kapitalny pomysł: polałem mgłę czarnym tuszem, porąbałem ją na kawałki i sprzedawałem jako węgiel, robiąc na tym świetny interes".

Trzecią nagrodę dostała kobieta pani C. B. Forman z Attali, opowiedziawszy też niezgorszą historyjkę:

„Trąba powietrzna rozerwała pewnemu obywatelowi z mojego miasta krawat i poniosła go w świat. W drodze do krawatu dołączyła kartę pocztową z pozdrowieniami i zaniosła ją wraz z krawatem przyjacielowi właściciela krawata, mieszkającego w sąsiednim mieście".

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Jej pierwsza miłość

(NOWELA).

W kancelarii adwokata Skecza panował od samego rana ożywiony ruch.

Mecenas Skecz pospiesznie załatwił klientów i spieszył do sądu, aby pozałatwiać terminy. Chciał bowiem powrócić na czas, gdyż o godz. 12-tej w południe przyjeżdża ważny klient z Krakowa.

Stenotypistką mecenasa Skecza była 19-to letnia, urocza blondynka. Siedziała ona teraz przy biurku i przeglądała pocztę. Między innymi listami, zwróciła uwagę na leżący telegram. Wzięła do swych wypielęgnowanych rączek ów telegram i czytała go kilka razy. — Adresat musiał być jej znany, gdyż czytając, uśmiechała się sama do siebie z dziwną radością...

Po chwili wzięła torebkę i wyjąwszy lusterko, poprawiła sobie fryzurę, patrząc przy tym badawczo w swe odbicie.

Młody brunet, sekretarz adwokata Skecza, widząc i rozumiejąc ruchy swej współpracowniczki, począł żartować.

— O! panna Wandzia robi się piękna, widocznie zalotny magister zrobił na niej miłe wrażenie...

— A pewnie, że tak. — Czy on nie jest przystojny?

— Pewnie, pewnie! — Wcale nie przeczę. — Kto wie, czy będąc kobietą, nie zakochałbym się również... Ale pani widziała go przecież tylko jeden raz...

— Panie Olku! — rzekła sympatyczna panienka. — Widziałam go tylko jeden raz — i... tak bardzo mi się spodobał...

Rozmowę przerwał im dzwonek telefonu. Mecenas Skecz zawiadamiał, że wraca już do domu.

W tej chwili wszedł do biura mężczyzna, liczący około 30-tu lat. Miał on ciemne duże oczy, orli nos i pogodny wyraz twarzy.

— Jestem Jerzy Runge, prokurent „PZT." — przedstawił się przybyły.

— Proszę bardzo... może pan chwileczkę spocznie — rzekła zalotnie panienka, wskazując miejsce. — Pan mecenas w tej chwileczce dzwonił i za pięć minut będzie obecny...

— Dziękuję bardzo! — odparł Runge i siadł.

Na stoliku leżał „Kurier". — Prokurent wziął do ręki pismo o bogatej treści i czytał.

Młoda kobietka mogła teraz swobodnie — przyjrzeć się „ukochanemu". — Po chwili przeszła do przyległego pokoju i rzekła do swego współpracownika:

— Panie Olku! — Ale on mi się naprawdę podoba...

Teraz już jej współpracownik nie dowcipkował. — Spojrzał w jej kuszące, piękne szafirowe oczy i rzekł:

— Niech pani kocha póki czas, gdyż jutro może być już za późno. — Kto nie kochał — ten nie żył... — mówią poeci.

— „Jaki to miły i dobry chłopczyk, ten Oleś" — pomyślała Wandeczka.

W tej chwili powrócił ze sądu mecenas Skecz. Zamienił z klientem serdeczny uścisk dłoni i poprosił go do swego gabinetu przyjęć.

Piękna Wandeczka nie miała spokoju. Co chwilę to z tym lub tamtym, wchodziła do gabinetu, by zobaczyć tego „stuprocentowego" mężczyznę, jak go nazywała w myślach. Czuła, że go kocha naprawdę... pierwszą miłością.

— Muszę z nim mówić! Za każdą cenę! Muszę, gdyż inaczej nie wiem — co się ze mną stać może...

Mecenas wyszedł na chwilę do sekretariatu — powiedzieć — aby dzisiaj telefonicznie nikogo nie łączyć z powodu ważnej konferencji.

Po chwili adwokat kontynuował dalej — przerwaną konferencję.

Wandeczka z rozmarzonymi oczyma — chodzi dziwnie podniecona — nie znajdując nigdzie spokoju. — O pracy — ani myśleć nie była zdolna tego dnia.

Prokurent „PZT". — uzgadniał wszystkie będące w biegu procesy u adwokata Skecza.

Godziny urzędowe już skończone.

— Czy pani idzie do domu? — zagadnął Oleś.

— Nie, panie Olku. — Jeszcze nie idę. Zostanę tu jeszcze... Może uda mi się pomówić z... Jurkiem.

— Życzę pomyślności pani, panno Wandziu — rzekł sekretarz, żegnając zakochaną współpracowniczkę.

— Dziękuję panu, niepoprawny urwiszu. — Jutro opowiem co zaszło...

— — — — —

Następnego dnia rano piękna Wandeczka wchodzi smutna i mówi na wstępie do swego współpracownika.

— I nic z tego...

— Co nic!? — pyta Olek.

— Nic z Jurkiem. — Pojechał i nie wiem nawet, kiedy wróci...

Oleś zaczął znów się śmiać i dowcipkować. Lubił on takie rozkapryszone miny.

— Rozmawiała pani z nim sobie — tak: sam na sam...?

Na to zapytanie piękna kobietka zarumieniła się nieco i rzekła wymijająco.

— Tak. — Gdy wychodziliśmy, zgodził się mnie odprowadzić do domu. Pytał mnie: gdzie tu w Poznaniu jest dobra śniadalnia. Wskazałem mu. Wówczas on, grzecznie poprosił mię, abym poszła razem z nim. Po namyśle — poszłam. W restauracji zamówił zakąski i wódkę, a później wystawną kolację. Po kolacji posłuchaliśmy trochę koncertu. Długo razem nie byliśmy, gdyż wieczorem o godz. 9-tej umówił się on z mecenasem. Potem odprowadził mnie do domu... i nic...

— A jednak zostawił coś pani — rzekł żartobliwie brunet.

— Nic mi przecież nie zostawił — odparła Wandeczka, zdumiona słowami Olka.

— Zostawił pani — tęsknotę...

Urocza blondynka uśmiechnęła się i rzekła.

— To, to tak. — Zostawił tęsknotę i ból. To tylko wy, mężczyźni, zdatni jesteście zrobić...

— A jednak i to coś jest warte — rzekł młody mężczyzna.

Po tym dodał, używając słów — które zapamiętał z jakiejś książki.

— Tęsknota i ból uszlachetniają dusze ludzkie. Tęsknota szarpie niekiedy serce ludzkie pazurem, jak zwierz dziki... zostawia nieraz ślady niezatarte. Ale nie trzeba narzekać... trzeba ją poznać, a wtedy stanie się ukochaną...

Czasem marzenie o szczęściu jest milsze, niż samo szczęście...

— Ale ja go naprawdę tak mocno kocham, więc co teraz...?

— Teraz będzie pani marzyć i tęsknić — odrzekł jej współpracownik. Próżnia, jaką pani posiadała — wypełniła się.

... może on za panią tęskni również...

Przypuśćmy, że jest on żonaty. Teraz spotkał na drodze życia panią i w niej się zakochał. Zakochać się mógł, gdyż może pani okazała mu więcej ciepła, niż jego żona. Może on myśli o pani, lecz co... Z żoną ma dziecko, które kocha więcej niż wszystko... Jest człowiekiem szlachetnym i dlatego panią nie pocieszył, ani też nie przysięgał, jak inni to czynią, płomiennej miłości, gdyż nie chciał mącić jej szczęścia i spokoju...

— To życie jest głupie — powiedziała zakochana Wandeczka, której oczy zdradzały wielką tęsknotę i żal.

— Nie, proszę pani — rzekł Olek. — Życie jest piękne, tylko trzeba trzeźwo patrzeć. Pani dlatego tak mówi, panno Wandziu, gdyż ukochany nie powiedział pani czułego słowa. Gdyby pani wiedziała, że on również tak bardzo panią kocha — mówiłaby pani inaczej.

Kobieta jest podobna do dziecka rozkapryszonego, które potrzebuje opieki i czułych, ale jednocześnie — nakazujących, słów. Mężczyzna, natomiast, jest jako dziecko, które potrzebuje pieszczot i trochę ciepła...

— No! Teraz dość już tych gawęd — rzekł sekretarz. — Musimy nadrobić stracony czas.

Piękna Wandeczka wstała i podeszła do okna. Oleś, jej naprawdę życzliwy współpracownik, zauważył, że w jej pięknych oczętach zaszkliły się łzy.

— Kocha go naprawdę — pomyślał.

— Zawiodłam się... usunęła mi się podpora, zbrakło mi otuchy, celu i podstawy życia...

Tylko jego jedynego mogę kochać tak mocno — rozmyślała — i usta jej febrycznie zadrżały...

— Kocham go, ale jego tu niema... odjechał, zostawiając mi tęsknotę i ból...

Koniec.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 2 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 11.25 Transmisja uroczystości otwarcia Międzynarodowych Targów Poznańskich 12.03 Poranek muzyczny 14.00 Audycja z okazji 365-lecia istnienia Lwowskich Chrześcijańskich Cechów Murarzy, Kamieniarzy i Brukarzy 14.30 50-lecie T-wa Śpiewaczego „Lutnia" — transm. z Filh. 15.30 Audycja dla wsi 16.00 Muzyka lekka (płyty) 16.25 Premiera słuchowiska pt. „Tarapaty króla walców" 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Literatura dociera wszędzie" szkic literacki 19.20 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 „Wesoła Syrena": „Przegląd majowy" 21.30 Dzieła Franciszka Liszta 22.05 Wieczorny koncert rozrywkowy Wileńskiej Ork. P. R. 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 3 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Teresy 12.03 Poranek muzyczny w wyk. Orkiestry R. P. 14.45 „Defilada piosenki żołnierskiej" 15.30 Audycja dla wsi 15.55 „Biegi narodowe 3-go maja" 16.05 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 17.00 „Licea rolnicze" — odczyt 17.15 „Z oper Karola Kurpińskiego" 18.10 Muzyka lekka — płyty 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Polskie utwory fortepianowe 20.00 Chór robotniczy „Zjednoczenie" (z Łodzi) 20.30 Wyniki biegu narodowego 3-go maja 21.00 Wieczór literacki poświęcony regionalizmowi 21.30 Muzyka salonowa 22.15 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 4 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Dęta orkiestra B. B. C. pod dyr. Waltona O'Donella 15.15 Trio Salonowe Polskiego Radia 16.30 Koncert ze studia P. R. na Targach Poznańskich 17.50 „Momencik" — monolog Teodora Buinickiego 18.20 „Lekkie intermezza" — płyty 19.00 Dyskutujmy: „Paradoksy pracy społecznej" 19.20 Utwory Gabriela Faurè 20.20 „W kolorowym świecie" reportaż muzyczny 21.00 14-ty koncert O. R. M. U. Z.'u 22.00 Muzyka salonowa 22.30 „Wiosna poetycka" — wiersze 22.45 „Melodie wiosenne" — płyty.

Środa, dnia 5 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Zespół salonowy Pawła Rynasa 12.50 „Szukam letniska" — pogadanka 15.15 Muzyka lekka 16.30 Chór Akademicki Fundacji Domów Akademickich 17.00 „Wyprawa Kijowska 1920 roku" — odczyt 17.50 Pogadanka o Bułgarii 18.20 Orkiestra Geraldo Gaucho — płyty 19.00 W sklepie z zabawkami — opowiadanie 19.20 Koncert z płyt 19.45 Lekkie wiązanki instrumentalne — płyty 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Jana Ekiera 21.30 Robert Schumann: Kwintet fortepianowy Es-Dur 22.00 Wileńska Orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 6 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 10.45 „Fantazje, potpourri i uwertury" — koncert z płyt 12.03 Poranek muzyczny 14.15 Orkiestra Alberta Sandlera i Erna Sack (sopran) 15.30 „Od chrztu do żeniaczki" — ludowa audycja 16.00 Muzyka taneczna w wyk. ork. T. Seredyńskiego 17.00 „Jak pracują kobiety w spółdzielczości" — odczyt 17.15 Ludwik v. Beethoven: Trio B-Dur op. 97 18.00 „Gliniane miasto" — felieton 18.15 Impresje wschodnie — koncert z płyt 19.00 Wznowienie słuchowiska p. t. „W lesie" 19.30 Recital fortepianowy Zdzisława Roesnera 20.00 Wieczór operetkowy 22.25 Zespół Stefana Rachonia.

Piątek, dnia 7 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Orkiestra wojskowa pod dyr. Antoniego Chrapczyńskiego 15.15 Koncert w wyk. ork. T. Seredyńskiego 16.30 Koncert ze studia P. R. na Międzynarodowych Targach Poznańskich 18.20 Muzyka lekka — płyty 19.00 „Dwie rewie" — skecz 19.45 Fragment operowy 20.00 Koncert poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego Transm. z Filharmonii Warszawskiej 22.50 Muzyka lekka — płyty.

Sobota, dnia 8 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Wileńska Orkiestra Polskiego Radia 15.15 Koncert rozrywkowy — płyty 16.15 Pastorale — orkiestra Adama Hermana 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Ostrej Bramy 18.20 Taneczna Orkiestra B. B. C. — płyty 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 „Piosenka i gitara" 20.50 Recital skrzypcowy Szymona Bakmana 21.25 Orkiestra cygańska (300 osób) Transmisja z Budapesztu 22.00 „Wesoła Syrena w piekle" 22.30 Muzyka taneczna w wyk. Malej Orkiestry.

Ada zagryzła niecierpliwie dolną wargę.

— Przeze mnie — rzekła wreszcie niechętnym głosem — widzę już, że chcesz koniecznie sama pobiec na leśniczówkę. Przypuszczam, że coś ci jednak zależy na tem, by wysłuchać całej dziwnej historii tej dziewczyny.

Ale żeby to nie trwało zbyt długo, pozwalam ci, ażeby cię Fryc odwiózł małym wózkiem tam i z powrotem. Czy znasz się dobrze z rodziną leśniczego?

— Pana i panią Herbert nie znam wcale — odpowiedziała Mala, tym razem zgodnie z prawdą.

— Tak? a ja myślałam, żeś oddawna na „ty a ty" z całą rodziną — zaśmiała się Ada ironicznie.

Nieznosiła ona bowiem Herbertów, a Sylwii zazdrościła nadzwyczajnej piękności. Z nieżyczliwością słuchała jak panowie z najwyższych sfer unosili się nad anielską pięknością leśniczanki.

Nie mogła ona Sylwii tego przebaczyć, że się odważyła być o tyle piękniejszą od niej.

Mala osiągnęła swój cel, ale pokryła zadowolenie swe obojętną miną.

Ledwie hrabianka poszła do jadalni na obiad i przez kilka godzin nie potrzebowała usług, pojechała Mala na leśniczówkę.

Zastała panią Herbert bladą, chorą i zmartwioną.

— Czy pozwoli mi pani stawić kilka pytań na pozór niedyskretnych? — spytała, przedstawiwszy się — miałam bowiem zaszczyt zrobić znajomość z córką pani, panną Sylwią. Zacna ta panienka taka była dobra dla mnie i tyle dla mnie zrobiła, że z wdzięczności interesuję się żywo jej losem.

Pani Herbert patrzyła na przybyłą trochę podejrzliwie, ale piękne i ujmujące rysy Mali przeważały na korzyść obcej.

Powitała ją więc i rzekła:

— Niech pani pyta.

— Kiedy znikła panna Sylwia?

— Ostatniej środy — opowiadała pani Herbert. — Właśnie byłam zajęta w kuchni, a córka moja siedziała z robótką ręczną w pokoju. Mniej więcej około dziewiątej godziny wszedł do kuchni listonosz i powiedział, że oddał mojej córce list, i że ona powiedziała mu, żeby poszedł do kuchni i kazał tam kucharce dać sobie śniadanie. Może w godzinę później udałam się do pokoju, żeby się Sylwię o coś zapytać, ale już jej nie było. Znikła i zostawiła tylko list do nas, w którym prosi, żeby się z jej przyczyny nie martwić.

Bylibyśmy nawet nie wiedzieli co się z nią stało i dokąd się udała, gdyby nie to, że chłop Pfitzinger, opowiedział nam, że odwoził Sylwię na dworzec kolejowy i że ona mu powiedziała, że ma zamiar pojechać do Wiednia.

Pani Herbert na tem skończyła, gdyż sądziła, że to będzie najmądrzej.

— Ten list zwabił pannę Sylwię do Wiednia — zawołała Mala.

— Pan Mehlhose mówi to samo! — potakiwała pani Herbertowa. — Mówi też, że to właśnie nieszczęście, że nie mamy w ręku tego listu, który skłonił moją córkę do tak pospiesznej podróży. Kto mógł być taki okrutny, żeby Sylwię wywabiać z domu rodzicielskiego! Kto wie, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

Na myśl o tem pani Herbert rozpaczliwie załamała ręce.

Napróżno Mala usiłowała ją uspokoić. Wszystkie jej pocieszające słowa przechodziły bez wrażenia.

Gdy się tak pani Herbert bezwzględnie oddawała swemu smutkowi, wszedł do pokoju jakiś pan, z którego ciemnych oczu widać było olbrzymi niepokój.

— Pan Sperling — zawołała Mala — skąd się pan tu wziął?

— Jestem w Königswalden w interesie — odpowiedział — i nazywam się tutaj Mehlhose. Przynosi pani może wieści o panience? — spytał ciekawie.

— Przeciwnie, przychodzę zasięgnąć wieści o pannie Herbert — powiedziała Mala. — Użyłam wymówki, że chcę panią Herbert prosić o trochę łoju jeleniego, żeby przyjść tutaj.

Herbertowa wręczyła jej kawał tłuszczu jeleniego, który Mala wzięła z podziękowaniem.

— Zdaje mi się, żem wynalazł słaby ślad — rzekł agent smutnie. — Wybieram się natychmiast do Wiednia, żeby pójść za tym śladem.

— W istocie? — zawołała pani Herbert uradowana.

Skinął twierdząco głową, wyciągnął z kieszeni rozkład pociągów i szukał czegoś pilnie w szpaltach.

— Za trzy godziny odchodzi najbliższy pociąg — rzekł po chwili — mogę więc jeszcze zupełnie spokojnie spakować moje rzeczy.

— Musi pan jeszcze coś przekąsić, zanim się pan wybierze w drogę — zawołała pani Herbert — za pół godzinki będzie wszystko na stole.

To rzekłszy wyszła z pokoju, żeby porobić potrzebne zarządzenia w kuchni, a Mala i agent zostali sami w pokoju.

Młoda dziewczyna zbliżyła się do agenta i szepnęła mu do ucha:

— Widzę po wyrazie pańskiej twarzy, że pana wiadomości są bardzo smutne.

— Niestety, tak jest w istocie — szepnął agent w odpowiedzi — niech się pani tylko nie zdradzi wobec tej biednej kobiety.

Napisałem do jednego kolegi do Wiednia i ten mi odpisał, że we Wiedniu w magazynie pakunków znaleziono między pakunkami trupa kobiety. Właśnie przed chwilą otrzymałem list.

Mala chciała krzyknąć z przerażenia, ale ajent zauważywszy to, zatkał jej usta ręką, przymuszając ją w ten sposób do milczenia.

— Cicho! — zawołał rozkazująco — jeżeli pani chce paplać, to ze mną będzie pani miała do czynienia, ale jeżeli pani chce milczeć, to pod tym warunkiem opowiem pani wszystko.

Młoda dziewczyna energicznie przytakiwała głową, poczem ajent odjął jej rękę od ust i zaczął opowiadać:

— Od trzech dni leżał w magazynie zasznurowany łykiem duży pakunek, którego nikt nie podejmował. Ponieważ opakowanie poplamione było dużemi plamami krwi, rozpakowano pakunek bardzo troskliwie obwiązany i zapieczętowany i znaleziono w nim rozkawałkowanego trupa, pięknego i młodego dziewczęcia o blond włosach. Według opisu, który mi przysyła kolega bardzo być może, że to jest trup panny Herbert.

Mala pobladła i szepnęła przez zaciśnięte usta:

— Boże miłosierny!

— Pojmuje pani — mówił dalej ajent stłumionym głosem — że pożałowania godnych rodziców nie prędzej uwiadomię o tym strasznym zajściu, dopóki się nie przekonam, czy przypuszczenia moje są rzeczywiście trafne. Wiedząc o tym, że pani umie milczeć, wtajemniczyłem panią we wszystko. — Niechże pani mego zaufania nie zawiedzie!

Zamilkł szybko, gdyż do pokoju weszła pani Herbert, aby nakryć do stołu.

Zdziwiła się bardzo, że Mala taka blada i spytała:

— Co panience jest, że tak zbladła jak kreda!

— Coś mi nie dobrze — wyjąknęła Mala — na powietrzu lepiej mi się zrobi, dlatego pojadę zaraz do domu.

Pożegnała się z leśniczyną i z ajentem, któremu rzuciła wiele mówiące spojrzenie i wyszła.

— No, co pan wie? — pytała pani Herbert ajenta.

— Pozwoli pani — odpowiedział spokojnie i stanowczo — że o tem na razie jeszcze zamilczę.

ROZDZIAŁ CXI.

Wampir Mediolanu

W damskim przedziale pierwszej klasy jechały dwie damy, obie bardzo niezadowolone.

Młodsza, niedbale opierająca się na siedzeniu zgrzytała zębami, zaciskała pięście i tupała nogami.

Któż się nie domyśli, że to była nasza znajoma von Wimpfen.

A któż to naprzeciwko ze złością uporczywie gapi się przez okno?

Któżby inny, jeżeli nie Anastazja!

W ciągu podróży dostała od swej niezadowolonej pani już nie jedno, niekoniecznie uprzejme słowo i w duchu zazdrościła Frani, która sobie najwygodniej w świecie jechała drugą klasą, albo prosiła Boga w duchu, żeby do przedziału wsiadł jeszcze jeden podróżny, któryby zmusił baronową do hamowania się.

— Anastazjo! — zawołała nagle baronowa — dokąd wzięłaś bilet?

— Pani baronowa nic nie mówiła, gdzie jedziemy, więc wzięłam w kierunku Mediolanu, dokąd odchodził najbliższy pociąg.

— Co za pomysł! — zawołała baronowa gniewnie — ciekawam, co ja mam robić w Mediolanie! To rzeczywiście całkiem dobre dla ciebie.

— Nie wiem czym zasłużyła na tę naganę — odpowiedziała Anastazja, zupełnie pokornie. — Pytałam się kilka razy dokąd mamy jechać, a pani odpowiadała zawsze:

Ciąg dalszy w nast. numerze.

7)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

— Jeszcze nic pewnego, że tak będzie, ale gdyby nawet podniósł się krzyk, to cóż z tego? Szlachta przyzwyczajona jest do krzyków. Pokrzyczą, pokrzyczą i dadzą w końcu spokój. A przy tym, czyż owo starostwo nie zostanie nadal przy nazwisku Ciechanowieckich? Wszakże to Ciechanowiecka nim będzie władać.

Pan minister zamyślił się na moment. Ta ostatnia uwaga Strutyńskiego ogromnie trafiła mu do przekonania. Istotnie, przecież starostwo nie przechodzi na obce imię, ale owszem, na imię Ciechanowieckiej. Jakąż tedy pretensję rościć może pułkownik lub jego powinowaci? Rozważywszy to, minister był już skłonny odjąć starostwo pułkownikowi i oddać je jego małżonce. Że on tam z nią nie żyje? Cóż z tego? Ani pan minister, ani król jegomość sam nie mają potrzeby tym się interesować. Ale chytry pan Brühl nie powiedział tego wszystkiego grafowi. Przeciwnie, wysunął cały szereg zastrzeżeń, wątpliwości, w końcu, rozłożywszy ręce, zapewnił, iż owszem, co będzie mógł, uczyni, aby jego książęcą mość księcia kanclerza zadowolić.

Było to już bardzo wiele i z tym graf Strutyński wyjechał do Wołczyna, gdzie już bawiły i żona i córka.

XI.

NOWA KOMETA

Natychmiast po otrzymaniu wiadomości od grafa, obie panie zajęły się przygotowaniami do wyjazdu. Trwały one pełne trzy dni, bo chodziło przecież o godne wystąpienie, aby nie być wziętymi za chudopachołków, którzy z konieczności czepiają się pańskiej klamki.

W końcu ukończono wszystko, ostatnią skrzynię zamknięto i zapakowano, panie wsiadły do obszernej kolebki na szerokich pasach rzemiennych, woźnica palnął z bata i ruszono w drogę.

Pani Jadwiga jechała jakby we śnie. Nigdy dotąd nie była w Wołczynie, a tyle nasłuchiwała się o jego wspaniałości, nigdy nie konwersowała z ludźmi wybitnymi, utytułowanymi, więc wszystkiego była ciekawa. Przy czym marzyła o poznaniu jakiegoś królewicza z bajki lub nie z bajki, jakiegoś księcia, jakiegoś wielkiego pana, który by obdarzył ją miłością tak wielką i wspaniałą, jaką nie może poszczycić się nikt z żyjących i wprowadził w ów świat zaczarowany balów i festynów.

Czy pozna?

Czasem marzenia urzeczywistniają się, ale najczęściej zawodzą.

Ale tym razem marzenie miało się urzeczywistnić, bo zaledwie obie panie pojawiły się na salonach wołczyńskich, pani Jadwiga poznała młodego i urodziwego stolnika litewskiego, Stanisława



Mamusia poleciła Bobasowi spełnić „ważną misję": zatelefonować do tatusia, że na obiad będzie świeża sałata z kurczętami.

Augusta Poniatowskiego, siostrzana księcia kanclerza, który niedawno z Rosji był powrócił, gdzie posłował na dworze carycy moskiewskiej od króla polskiego. Przystojny, nad podziw gładki, w rzeczach miłości jak żaden drugi biegły, przy tym wielki pan, pełen wykwintnych manier, pan stolnik litewski odrazu zwrócił na siebie uwagę pani Jadwigi. A że i ona musiała mu się podobać, tego można było z góry być pewnym, chyba, żeby pan stolnik był ślepym i wdzięków jej nie widział. A tego o nim powiedzieć nie można było.

I jak dotąd wszystkie główki niewieście zwracały się za pojawieniem pana stolnika litewskiego w jego stronę, niby tarcze słonecznikowe do słońca, tak teraz wszystkie oczy męskie biegły ku pani Ciechanowieckiej, porwane jej niezwykłą, fascynującą urodą, której w ych salonach, pomimo bardzo licznego zgromadzenia pięknych niewiast, nie było równej.

Kiedy stanęli przy sobie: pani Jadwiga i pan stolnik litewski, tworzyli wprost zachwycającą parę, jakby specjalnie przez naturę dla siebie stworzoną.

Pani starościna zrobiła na panu stolniku litewskim podobne wrażenie, jakie na starożytnym Greku musiała sprawić Afrodyta, wyłaniająca się z wody morza. To też pierwszemi jego słowami, jakie wypowiedział do tego niezwykłego zjawiska, były słowa niekłamanego zachwytu.

— Madame — odezwał się — zali jesteś naprawdę mieszkanką ziemi, czyli też boginią, która zstąpiła na ten padoł, aby ludzi swoim widokiem olśnić?

Pani Jadwiga spojrzała mu śmiało w oczy i również śmiało odrzekła:

— Zaliżby w Ucianach znajdował się Olimp, gdzieby boginie zamieszkiwały?

— Tak sobie wyobrażam, madame, patrząc na ciebie.

— To źle sobie imaginujesz, wasza miłość, albowiem ziemskam jest jeno mieszkanka i daleko mi do bogiń.

— Aleś jako Wenus, madame, piękna, tylko taka nasza, litewska Wenus.

— Albo lepiej — Wenus uciańska.

— Doskonale powiedziane. Mają Italowie swoją Wenus, mieli ją ongi starożytni Grecy w zimnym marmurze zaklętą i byli z tego dumni. Jacyż zatem my Litwini powinniśmy być dumni, posiadając takie żywe wcielenie owej bogini.

— Zbyt łaskaw dla mnie jesteś wasza miłość — broniła się przed dalszymi komplimentami pani Giga, lecz w duchu uradowana była tymi pochwalami, gdyż wypowiedziane one zostały publicznie, w licznym gronie gości wołczyńskich.

I od tej chwili pan stolnik litewski nie odstąpił od boku uroczego zjawiska, jak ongi był to uczynił Ciechanowiecki, i miał jej nie odstąpić w ciągu wielu dni i wielu następnych wieczorów.

Po balach i przyjęciach Petersburga, po rozkoszach nocy spędzonych w objęciach „syreny północy", carycy Katarzyny, pan stolnik litewski, po przybyciu do Wołczyna, na ogół nudził się. Nie brakowało przecież i tu wieńca pięknych niewiast, którymi go otoczono, pragnąc zabawić przyszłego króla, lecz żadna z nich dotychczas nie mogła jakoś przywiązać do siebie na dłużej młodego panka, chociaż cały swój spryt niewieści wysilała w tym kierunku.

Dopiero ta jedna pochłonęła całkowicie uwagę i zainteresowanie pana stolnika litewskiego. Doskonały znawca piękna, czego w przyszłości miał dać niejednokrotny dowód, i tym razem ocenił obiekt należycie.

Tymczasem obie panie — Strutyńska i Ciechanowiecka — zadomowiły się na dobre w Wołczynie, z czego sam książę kanclerz rad był ogromnie, gdyż i jego bacznej uwadze nie uszło, iż pan stolnik litewski znajduje duże upodobanie w towarzystwie starościny opeskiej i w samotnych z nią wędrówkach po obszernym parku wołczańskim, pełnym grot, mostów westchnień, włoskich ałtań miłości, kiosków dumań i przeróżnych zakamarków, w których swobodnie można było flirtować, nie będąc narażonym na podglądanie czy jakiekolwiek inne przeszkody ze strony osób trzecich.

Odbywali tedy oboje państwo nieskończenie długie spacery, jeździli łodzią po stawie, a wieczorami, w czasie balów, nieodłącznie ze sobą tańczyli.

Dla wszystkich było widocznem, iż pan stolnik litewski stara się o względy pięknej pani według wszelkich prawideł szarmanterii francuskiej i że pani starościna opeska, owszem, nader przychylnie przyjmuje owe zabiegi.

Szturmowanie pana stolnika litewskiego do tej pięknej, a bynajmniej nie tak znowu nie do zdobycia będącej twierdzy, trwało dość długo, w każdym razie daleko dłużej, niż szturmowanie pana Rudominy, ale bo też i w owym drożeniu się madame Hedwige była bardzo duża doza kokieterii, sprawiającej jej wiele przyjemności, a poza tym —

miała pani Ciechanowiecka na myśli zamiary daleko poważniejsze na pana stolnika, niż na Rudominę.

W końcu jednak nadszedł dzień, w którym twierdza ogłosiła częściową kapitulację.

Byli właśnie na jednym ze swych zwykłych codziennych spacerów w oddalonej części parku i w pewnej chwili usiedli na ławeczce, naprzeciw której mieli postać Amora, napinającego łuk do strzału, misternie rzeźbionego w marmurze.

— Madame — rzekł pan stolnik — czy widzisz tego nicponia? — wskazał na posążek. — Od tygodni zdradliwą jego strzałę noszę w sercu, a nie ma komu wyjąć mi jej.

— A czy ja nie mogłabym jej usunąć? — zaofiarowała się żartobliwie pani Giga.

— To jest jedynem mojem pragnieniem.

— Cóż więc mam uczynić?

— Czyż nie domyślasz się pani? Czy twoje serce nic ci nie szepcze? Czy ci nie mówi, że czyjeś drugie serce cierpi męki Tantala, nie mogąc się w bólu ukoić?

Na te słowa madame Hedwige spuściła tylko powieki na swoje wspaniałe oczy i milczała. A pan stolnik litewski, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, a będąc dość przedsiębiorczym w podobnych wypadkach, daleko bardziej przedsiębiorczym, niż w rzeczach innej, o ileż donioślejszej wagi, otoczył ramieniem dorodną postać starościny, przyciągnął ją ku sobie, a w następnym momencie już usta jego dotknęły ciepłych, tchnących żarem krwi, rozpalonych pożądaniem ust madame Hedwige.

I od tego dnia miały te pocałunki powtarzać się coraz częściej i coraz częstszymi były ich spotkania, spacery i przyjemne sam na sam.

Lecz dla własnej wygody i dla uniknięcia niepotrzebnych w podobnych wypadkach świadków, kryli się oboje młodzi państwo w sypialni pana stolnika litewskiego, dokąd kryjomo zachodziła madame Hedwige, nęcona słodyczą zakazanego owocu i rozkosznymi szeptami, które w półmroku i ciszy stolnikowej sypialni miały dla niej tak wiele nigdy niezapomnianego uroku.

Madame Hedwige wyżywała się w tych schadzkach z pięknym i pociągającym kawalerem w całej pełni, do samego dna uczuć i nigdy nawet na myśl jej nie przyszło zastanawiać się nad swoimi postępkami.

Tak mijały dni za dniami, pełne nietajonych tęsknot, cichych westchnień, wielemówiących spojrzeń, uścisków namiętnych i pocałunków żarkich, co niby płomienie spalały ich wargi.

Ale o ile pani Jadwiga pragnęłaby zawsze przebywać z panem stolnikiem, kochankiem tak subtelnym, tak bardzo kochanym, o tyle sam Wołczyn sprzykrzył jej się już. Już te salony nie wydały jej się dostatecznymi dla siebie, dość świetnymi. Ona chciała błyszczeć, a im salony były wspanialsze, tym owo błyszczenie było świetniejsze. Chciała olśniewać i hołdować, a tutaj mogła to robić w nader ograniczonym zakresie.



Na wiejskim podwórzu...

Że zaś tak jakoś wypadło, iż pan stolnik litewski wybierał się właśnie do Warszawy, a że papa Strutyński, który znowu w stolicy bawił, o starostwo opeskie dla córki zabiegając, domagał się przybycia pani Ciechanowieckiej, słusznie rozumując, iż żaden mężczyzna nie dokona tego, czego dokonać potrafi piękna kobieta — wybrała się pani Jadwiga z matką do syreniego grodu.

XII

Nowy grom

Zamierzywszy wyjazd do Warszawy, pan Jan Ciechanowiecki odkładał go jednak z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, jakby się lękał jednak spotkać znowu z niewierną, jakby się lękał swojej słabości i uroku kuszącej piękności żony.

A tym czasem usłużne głosy donosiły do jego uszu raz po raz nowe wieści, to o panu stolniku litewskim, romansującym z piękną niewierną w Wołczynie, to o ubieganiu się o jej względy innych panów i paniąt litewskich. Jedni twierdzili, iż otrzymał pan stolnik litewski więcej, niż się spodziewał — drudzy, że wampirzyca się droży, mierząc wysoko.

Wszystkie te usłużne głosy żywym ogniem piekły pana Jana, wywołując ból serca, ból dumy, ambicji i honoru. I owe to głosy, co jak strzały zatrute uderzały w niego, zmusiły go w końcu do zerwania się z miejsca i pognania do stolicy.

Stanął na Krakowskim Przedmieściu u znajomego swego pana Iwanowskiego i zaledwie wypoczął trochę po dalekiej drodze, poszedł rozpytać o niewierną. Ale prawie na progu swych poszukiwań natknął się na brata generała, którego strasznie wzburzony wygląd tknął pana Jana jakimś złym przeczuciem.

— Na Boga! Stanisławie, co tobie? — zawołał Jan.

— Więc ty nic jeszcze nie wiesz, nieszczęśliwcze? — wybuchnął generał.

— Dowiem się, gdy mi powiesz.

— Otóż ta wampirzyca, ta diablica z piekła rodem, córka Strutyńskiego i jej godny rodzic, arcyszelma i arcykrętacz, postarali się o to, że tobie odjęto starostwo opeskie i oddano je tej wampirzycy uciańskiej.

— Na Boga! To być nie może!

— Może, bo jest.

— Ależ to zbrodnia, pogwałcenie kardynalnych podstaw wolności i sprawiedliwości! To zbrodnia nie mająca równej w dziejach Rzeczypospolitej!

— Nie mów mi o sprawiedliwości, bo mnie na samą myśl o tym najczarniejsza cholera zalewa. Pójdź do mnie, musimy się naradzić.

— Pomyśl jeno, mój Janie — mówił generał, przemierzając komnatę wielkimi krokami — że starostwo opeskie od niepamiętnych czasów zawsze było w naszych rękach. Odebranie nam go teraz, to już nie zbrodnia, to grom bijący we wszelką wolność naszą szlachecką, grom bijący w przywileje królewskie i w nadania odwieczne. Tu nie chodzi o same utraty z królewszczyzn, ale o zasadniczy tenor samego czynu. Dziś odebrano starostwo opeskie nam, jutro odbierze się podobne starostwo komuś innemu, a potem przyjdzie pozbawienie tego czy innego przywileju, a bodajże nawet szlachectwa.

— Musim tedy założyć protest, powiadomić księcia pana i jego prosić o pomoc. A prócz tego, trzeba nam uzyskać posłuchanie u króla, aby mu przedstawić tę samowolę.

— Zanim do króla, wpierw musimy zacząć od owego oczajduszy przekupnego ministra królewskiego. Sprawa szacherstwa z naszym starostwem tam, a nie u króla, musiała być targowana.

Długi czas tak radzili bracia, po czym zabrali się do pisania i rozsyłania pism, zawiadomień i próśb do wielkich i małych protektorów, do krewniaków, klientów i przyjaciół.

Próbowali następnie uzyskać posłuchanie u króla, ale ilekroć zgłaszali się na Zamku, odpowiadano im zawsze,



Przy udziale króla Jerzego i członków rodziny królewskiej oraz korpusu dyplomatycznego, odbyła się w Atenach uroczystość 100-letniego jubileuszu miejscowego uniwersytetu. Na ilustracji widzimy króla Jerzego z siostrami, ks. Katrzyną i ks. Ireną podczas uroczystej akademii.

iż król jegomość niezdrów i nikogo nie przyjmuje. Ciechanowieccy wiedzieli, że nie jest to prawda, ale na to nie mieli żadnej rady. Nic nie wskórawszy tutaj, pojechali do ministra, lecz i tutaj spotkał ich zawód.

— Pan minister zachorował — odpowiedziano im.

— Snać jakaś piekielna epidemia zapanowała nagle wśród najdostojniejszych osób — rzucił wzgardliwie generał, opuszczając progi pałacu.

— Epidemia opeska — zauważył Jan.

A już też były doszły listy Ciechanowieckich do adresatów i jak Litwa i Korona długa i szeroka podniósł się gwałt okrutny.

Odręczne pismo księcia Panie Kochanku do Jana Ciechanowieckiego, nakazywało wnieść skargę o rozwód bez zwłoki, po którym — pisał książę — i przelew starostwa opeskiego na córkę grafa Strutyńskiego upaść musi.

Zjechał też do stolicy i brat Michała, starosta domaski i teraz już we dwóch z generałem zaczęli pchać Jana do rozwodu.

W owym okresie saskim, o którym mowa, rozwody były daleko częstszym zjawiskiem, niż dzisiaj i uważano za zupełnie proste to, o czym powiada Potocki w „Moraliach", iż „co pleban związał, rozwiąże ksiądz sufragan".

Ale sprawa rozwodowa Ciechanowieckiego miała urość do zagadnienia niemal państwowego i nie mało wody namąciła ona w swoim czasie.

Głowom dwóch wzajemnie zwalczających się obozów — Radziwiłłowi i Czartoryskiemu — zależało na permanentnych waśniach między ich stronnikami — to wzmacniało siłę frakcyj i zabezpieczało przed ewentualnymi zdradami. To też i tu dygnitarze się wmieszali.

Partia radziwiłłowska, świecka i duchowna, przynaglała do rozwodu, mając na względzie i rzeczywistą pomoc nieszczęsnemu staroście. Natomiast frakcja Familii, z biskupem Massalskim na czele partii kościelnej, sprzeciwili się co sił.

Zawrzało tedy jak w ulu dokoła tej sprawy rozwodowej Ciechanowieckich.

Po oburzeniu w pierwszej chwili na niecny postępek teścia, starosta zapadł znowu w swój zwykły bezwład i apatię. Siedział wciąż jeszcze w Warszawie, nie wychodził prawie nigdzie, pozostawiając kłopoty rozwodowe braciom, ale z dnia na dzień wybierał się do Opsy.

W przeddzień swojego wyjazdu ze stolicy, dowiedziawszy się o bytności w Warszawie pana regimentarza Cieńskiego, poszedł pan Jan powitać i pożegnać przyjaciela, a kapryśny los zrządził, że trafił właśnie na szumne przyjęcie u regimentarza. W pierwszej chwili zamierzał się cofnąć, bo to nie do zabawy było mu teraz, ale już go był dostrzegł sam pan regimentarz, chłop jak dąb wiekowy, olbrzymiej siły, i porwawszy przyjaciela w ramiona, nawet gadać sobie nie dał o odejściu.

— A cóżem ja to Turek albo inny poganin, mosterdzieju, abyś moją gościną pogardzał? — mówił pan regimentarz.

— Regimentarzu kochany — bronił się starosta — zważ-że, iż bryki stoją zaprzężone i gotowe do drogi.

— A niech sobie stoją. Poślę zaraz pachołka, by kazał konie wyprząc i po harapie. Korzystałem ja niegdyś z twojej gościnności w Opsie, razem biesiadowaliśmy u księcia pana w Nieświeżu — pozwól-że tedy, abym i ja ci się choć w mizernej części odwdzięczył.

I nie chcąc już dalej słuchać żadnych tłumaczeń przyjaciela, oddał go zaraz w ręce córki swej Teodory, niewiasty olbrzymiej siły, która mogła najtęższego chłopa oknem wyrzucić, co i czyniła, gdy podpiwszy wiele, panowie szlachta zaczynali zbytnio dokazywać i swawolić, a sam poszedł wydać polecenie pachołkowi.

Zgromadzenie w domu regimentarza było dość liczne i doborowe, ale Ciechanowiecki nie miał czasu przyjrzeć mu się uważniej, gdyż zaraz na wstępie jedna tylko osoba pochłonęła całą jego uwagę, a była nią własna jego niewierna małżonka.

Gdy ją ujrzał po tak długim niewidzeniu, jeszcze piękniejszą, jeszcze bardziej uroczą i pociągającą niż przedtem, niż kiedykolwiek — w oczach mu pociemniało i w głowie zahuczało, jak w żarnach.

Podszedł do niej napół świadomie i zdobył się na nadzwyczajny wysiłek obojętnego zapytania o coś pospolitego i banalnego, chociaż wszystko w nim rwało się skargą i żalem, tęsknotą i miłością ku niej, ku tej jednej jedynej na świecie.

Madame Hedwige na widok męża pobladła nieco pod barwinkiem i niespokojnie rozejrzała się dokoła, jak gdyby szukała oparcia w kimś bliskim i przyjaznym sobie. A nie znalazłszy nikogo odpowiedniego, spróbowała się opanować, stłumić wzruszenie.

Jan stał przed nią i coś mówił, czego nie mogła nawet pojąć. Zwolna jednak przychodziła do siebie, hamowała wzruszenie, a gdy oczy na męża podniosła, była to już nieznana staroście owa dama światowa, która królowała na salonach warszawskich.

Zgromadzeni u regimentarza goście byli to wszyscy ludzie światowi, których codziennym prawie karmem były alkowiane plotki i komeraże. Nie obce im też były dzieje tego małżeństwa, które oto spotkało się znowu wbrew własnej woli i rozmawiało teraz obojętnie i napozór obco, a które obserwowano bardzo dyskretnie, nie chcąc mu w tej rozmowie przeszkadzać.

Madame Hedwige, wpatrując się na pół przymrużonymi oczami w twarz męża, spostrzegła jego mizerię i powiedziała mu to.

— Ha, cóż? — odrzekł naogół spokojnie starosta — troski, kłopoty i bóle serdeczne nikogo nie utuczą.

— Doprawdy? I czemuż tak bardzo troskasz się waćpan? — spytała naiwnie.

— Czemu? Asani wiesz najlepiej, boś alfą i omegą wszelkich moich trosk.

— Ja? Czyż mogę, będąc od waćpana w tak znacznym oddaleniu — trosk cię nabawiać?

— Daleko więcej, niż wtedy, gdybyś przy mnie była.

— Ciekawam, jak to się dziać może?

— Ty sama najlepiej to wiesz, madame, sama najlepiej wiesz... Nie dość ci było nazwisko moje niesławą okryć, nie dość kalać mój honor po salonach wołczyńskich i warszawskich, jeszczeście umyślili wespół z rodzicem godności mnie pozbawić, aby do reszty mnie pohańbić. Ale przebrała się w tym miejscu miarka waszych nieprawości.

— Monsieur, pan się zapominasz.

— Asani dawno już zapomniałaś, gdzie kres nieuczciwości i hańby! — rzucił jej już groźnie, bo na wspomnienie tych wszystkich krzywd, których od niej doznał, znów go goryczą zalała.

— Pardon, monsieur, ale jeśli przyszedłeś tu po to jedynie, aby mnie znieważać, nie chcę dłużej cię słuchać.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

ADAM NASIELSKI.

1)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

I.

Cień we mgle... — tak nazwał inspektor Bernard Żbik ową zagadkową i tajemniczą sprawę, bodaj najbardziej zawikłaną i nieuchwytną w jego praktyce w Centrali Służby Śledczej w Warszawie — a to ze względu na niezwykłe i niecodzienne otoczenie, w jakiem rozegrała się walka z cieniem.

Każda zbrodnia zdarza się przecież w środowisku niezwykłem, patalogicznem, na podłożu zwyrodnienia, choroby nerwów, lub tragedii konfliktu, który rujnuje najzdrowszy system nerwowy za jednym zamachem i wkłada śmiercionośną broń w rękę i zabójcze zamiary w umysł człowieka, który nie mógł czy nie umiał się oprzeć — i zabił. Tu jednak było coś więcej. Nawet gdyby nie zaszła tragedia, teren i osoby dramatu zwróciłyby na siebie uwagę każdego spostrzegawczego i inteligentnego człowieka, jakiby je poznał choćby powierzchownie. Fakt, który zmusił władze śledcze do ingerencji przez osobę Bernarda Żbika był tylko okazją, motywem do wniknięcia przez genialnego kryminologa i psychologa w zakamarki zawikłanych dusz tajemniczych ludzi. Słowa: tajemniczy, niezwykły, zagadkowy i niecodzienny, jakich użyłem powyżej nie są wcale nadużyte. Ludzie w których kręgu zainteresowań rozegrała się „sprawa grobowca Ozyrysa“ istotnie byli takimi i oni sami wcale tego nie negowali, przeciwnie, akcentowali ten objaw na każdym kroku i dlatego przedewszystkiem śledztwo, jakie podjął inspektor Żbik było utrudnione i na pewnych odcinkach wręcz niedostępne — bo napotykało na nieprzebyty mur zdecydowanego milczenia. Z powodu tych to odcinków wielki detektyw nazwał akcję trafnie: działaniem we mgle, szukaniem cienia w niewyraźnych oparach zgrozy i konieczności zdobywania gąbczatych terenów psychopatalogii lancetem sprytu, odwagi i czarną lufą przerażenia. Gdyby nie ten ostatni czynnik duchowy — strach — którym sławny inspektor posłużył się jako atutem niektórych ze swych posunięć — kto wie, czy sprawa „Ozyrysa“ doszłaby do rozpatrzenia. „To jest cholernie niesamowite, panie naczelniku“ — powiedział wywiadowca Wielgus. I miał rację. Nie przesadził ani na jotę.

Grobowiec Ozyrysa! To egzotyczne określenie odegrało w sprawie rolę symboliczną. Nic więc dziwnego, że prasa nazwała dramat w Banku Południowym — sprawą grobowca Ozyrysa...

A dramat rozwinął się niespodziewanie szybko i była chwila — inspektor Żbik przyznał to otwarcie — gdy mądry i nieustraszony detektyw chciał wycofać się... z przerażenia. Ludzka rzecz i nie możnaby go było za to potępić. Nie należy wcale do przyjemności mieć niezbitą świadomość, że za chwilę dosięgnie cię tajemnicza kula, zatruta klinga cienkiego jak liść kindżału, że oś twojego samochodu zostanie przepiłowana, herbata lub kawa przyprawiona śmiertelną dawką cyjanku potasu. Takie historie czyta się wprawdzie z emocją i z napięciem z miłym dreszczykiem specyficznej przyjemności. Wierzcie mi jednak — przekonanie, że za chwilę śmierć może wyciągnąć do nas swą kościstą dłoń, że za nami chodzi człowiek, dla którego pojęcia ryzyko przestało już istnieć — to nie należy do przyjemności, ani do emocji, nawet dla anachorety. Takie uczucie i przeświadczenie wprost dobija człowieka psychicznie, odbiera mu radość życia i sprężystość mięśni, które wiotczeją, paraliżuje duszę, dusi i dławi oddech i serce niczym sznur szubienicy.

Z jednego jeszcze powodu sprawa grobowca Ozyrysa bezwzględnie odstaje od innych wielkich gier Bern. Żbika. Rozegrała się ona mianowicie w środowisku wielkiego przemysłu międzynarodowego, w ugrupowaniu władców milionów złotych, ludzi, którzy rządzą się innemi kryteriami i etyką różną biegunowo od moralności zwykłych śmiertelników, szarych posiadaczy książeczek oszczędnościowych, wychuchanych ćwiartek loteryjnych i amatorów pół-czarnej w zadymionym zaduchu nędznej iluzji. Dosłownie: w środowisku ludzi niezwykłych i niesamowitych, gdyż innego określenia nie widzę dla scharakteryzowania osobnika, dla jakiego jedynym celem w życiu jest gromadzenie potwornie wielkich sum pieniężnych, dyrygowanie jednostkami — bez-kręgowcami i ugrupowaniami niby sforą niewolników w kołnierzykach, pławienie się w miażdżących słabszego intrygach i duszenie otoczenia ciężarem swego degenerowanego ogromu.

A jednak — okazało się, że i tacy ludzie mają pod poncerzem niedostępności zwykłą, słabiutką, śmiertelną duszę, humanitarne porywy, normalne idiosynkrazje i jakże ludzkie punkty najmniejszego, a nawet żadnego oporu.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte nadały „tajemnicy grobowca Ozyrysa“ owo tło niezwykłości, przerażenia i rzeczywistej zgrozy.

II.

Spostrzeżenia

Granatowy samochód z zieloną strzałką kierunkową zatrzymał się z piskiem opon na mokrym, śliskim asfalcie na Krakowskiem Przedmieściu. Nieopodal zgromadziła się jak zwykle w takich okolicznościach grupa ludzi, którzy zawsze i wszędzie dysponują sporą dawką zbytecznego czasu, niekoniecznie wynikać muszącą z bezrobocia lub braku zajęcia. Policjant zajrzał tylko przelotnie, poznał, zasalutował i dał znak pozwolenia wjazdu.

— Oto, co znaczy być człowiekiem znanym i popularnym.

— Przesada, Adasiu. Poznał najzwyczajniej samochód centrali.

Elegancki młody człowiek przyjął ich w hallu, obejrzał zaproszenie i uśmiechnął się przymilająco i zupełnie zbytecznie. Zwrócił się bez wahania do wyższego mężczyzny w doskonale skrojonym fraku:

— Tędy, panie inspektorze.

Niższy nieco, lecz również wzrostu ponad średniego, przystojny młodzieniec mrugał zabawnie okiem:

— Na zaproszeniu niema nic więcej oprócz imienia i nazwiska, a jednak zatytułował cię inspektorem. Czy teraz jeszcze masz zamiar zaprzeczać, że jesteś popularny.

Bernard Żbik nie odpowiedział odrazu. Swoim zwyczajem rozejrzał się bacznie, podszedł do ogromnego lustra, poprawił krawat.

— Jeżeli sprawia ci to istotnie przyjemność, nie będę przeczył. Byłbym nieco zdziwiony, gdyby mnie nazwał arcybiskupem lub Mahatmą Gandhi.

Aspirant Adam Billewski nie podjął jałowego sporu, gdyż umiał wyczuwać nastrój i zresztą, nie było o co; trzeba spoważnieć od czasu do cza-

su. Bez zakłopotania obserwował otoczenie wokoło. Licznie zgromadzone grupki osób. Wszyscy we frakach wielu z orderami i małżonkami, sama elita — bal-raut w Resursie Obywatelskiej pod protektoratem Pani Ministrowej Spraw Zagranicznych to nie byle co. Ponieważ jednak poraz pierwszy w życiu stał twarzą w twarz z tyloma ambasadorami, przemysłowcami i personami, ba, z całym korpusem dyplomatycznym w Warszawie — nic dziwnego, że patrzał z zaciekawieniem i z satysfakcją. To samo czynił w tej chwili inspektor Bernard Żbik, ale z innych powodów i bez satysfakcji na razie.

— Ciekaw jestem czy ona da się nam widzieć — rzekł zagadkowo i niejasno.

— Kto?

— Kobieta, która przysłała mi zaproszenie na ten bal. Nie wątpię bowiem ,że to uczyniła kobieta.

Sięgnął po zaproszenie i poraz może dziesiąty przyjrzał mu się dokładnie. Pierwsze cztery litery wyglądały jak początek słowa: Helena, ale nazwiska nie mógł w żaden sposób odcyfrować — zupełnie nieczytelne. Wczoraj w południe nadeszło do Bernarda Żbika to zaproszenie na dwie osoby i był przekonany, że to od którejś z licznych znajomych adoratorek.

— Spójrz — wręczył karton aspirantowi. — To wygląda jak Helena. Znam trzy Heleny, ale na razie nie widzę tu ani jednej z nich.

— Czy to takie ważne, kto ci przysłał zaproszenie, popularny człowieku. Grunt, że tu jesteśmy i to zupełnie nie służbowo. Mnóstwo pięknych kobiet, doskonała orkiestra, dobre towarzystwo, ciekawe otoczenie. Bawmy się! Czyż zawsze musimy być nastawieni na odkrywanie tajemnic, kto, co kiedy, dlaczego i którędy? Chcę raz zapomnieć o tem, że jestem oficerem policji śledczej.

— To bardzo trudne — stwierdził Żbik. Ale właściwie Adam miał rację. Byli tu w charakterze prywatnym i mogli się cieszyć, nie jak ten biedny podkomisarz Grabowski, który stał tam za kolumną i właśnie ukłonił się dyskretnie Żbikowi. Kierownictwo pierwszego komisarjatu P. P. w Warszawie jest stanowczo stanowiskiem bardziej eleganckim niż wygodnym.

Prawdę mówiąc i podkomisarz Grabowski był tu zbyteczny. Każdy z obecnych, ważniejszych dyplomatów — bo o nich tu przedewszystkiem chodzi — dysponował własną służbą bezpieczeństwa. Naprzykład siedzącego tam, obok kominka ambasadora sowieckiego strzeże gwardia, złożona z jedenastu uzbrojonych agentów. Tak, że służbowy oficer komendy głównej i kierownik pierwszego komisariatu są tu właściwie tylko dla fasonu, który stanowi notabene siedemdziesiąt procent sztuki dyplomatycznej, pozostałe trzydzieści procent to: kłamstwo z fasonem i obłuda.

— Powinniśmy bawić się doskonale, Bernardzie. Bądź co bądź niecodzienne otoczenie. Za trzęsienie dyplomatów. Jak się z takimi właściwie gada?

— Najlepiej z bronią w ręku — zażartował sławny detektyw złośliwie. Odkłonił się uprzejmie oficerowi inspekcyjnemu z drugiego oddziału sztabu i zwrócił przytem uwagę na jego źle zawiązany krawat. Czyżby niedopatrzenie... Może coś więcej... Z takimi ludźmi nigdy nie można być pewnym.

Odmówił lokajowi wypicia jakiegoś ładnego i prawdopodobnie smacznego napoju i skierował kroki do palarni. Lubiał fotele klubowe i cały lekkie rozleniwienie. Jakże chętnie byłby wyjechał na dodatkowy urlop. W drodze do dyskretnie oświetlonego i obszernego pokoju zlustrował otoczenie swym wszystko widzącym spojrzeniem, nie dostrzegł jednak na razie nic charakterystycznego. Może dlatego, że tu wszystko było charakterystyczne.

— Spójrz, Bernardzie, na tego chudego blondyna obok filaru. Mądra twarz. Ciekaw jestem jaki to poseł, bo...

— Żartujesz chyba. To agent sowiecki z gwardii ochronnej ambasadora. Ma w kieszeni napewno dwa płaskie Colty i gotów jest otworzyć ogień zaporowy za najmniejszym podejrzeniem. Tak samo jak jego towarzyszka, popijająca coktail z wdziękiem — jakby to była czara trucizny boletus cervinus.

Aspirant podniósł brwi w zdumieniu.

— I sądzisz, że on odważyłby się strzelać tu, w tej sali, w takim tłumie, do tych bezcennych obrazów i mebli.

Bernard Żbik skinął głową w zadumie. Naiwność ludzka zawsze wprawiała go w stan zamyślenia.

— Młodzianie, do strzelania nie jest potrzebna odwaga — wystarczy nabity rewolwer. Wyjmuje się i naciska języczek spustowy. Tak, on napewno odważyłby się strzelić. Od tego on tu jest i — właśnie z powodu tej gotowości nie dochodzi do strzelaniny. Si vis pacem... To są dziwni ludzie, Adasiu. Twój „poseł" ma napewno zaproszenie na imię jakiegoś radcy, czy czegoś podobnego. Lecz w gruncie rzeczy oni są wszyscy zwykłymi agentami wraz z ich zwierzchnikami w graniastych kapeluszach.

— Tam stoi piękna kobieta i uśmiecha się do nas — aspirant aż mlasnął z zachwytu. — Spójrz na te czarujące oczy, otoczone lekką mgiełką. Poproszę ją później do tańca i zapytam czy jej na imię Helena, o najmilejsza. Może ona przysłała ci zaproszenie.

— Jeżeli dwuletni pobyt w więzieniu Surete nie kazał jej zapomnieć tanga — możesz jej zaproponować. Nawiasem mówiąc, bardzo zdolna dziewczyna. Do Secret Intelligence Service przeszła podobno z Criminal Investigation Departament, a to już coś znaczy. Mówią, że operuje sprawnie przy pomocy opium i innych narkotyków i skłonny jestem temu uwierzyć. Spójrz na jej nozdrza.

— Uwziąłeś się, żeby mi popsuć humor, Bernardzie. Wiem, że to potrafisz ze swą diabologiczną spostrzegawczością i erudycją. Czemu jednak dziś ja właśnie mam paść ofiarą.

— Nie bądź dziecinny. Wątpię czy potrafiłbyś bawić się w jej towarzystwie... chyba, że znasz dobrze kilku oficerów z wyższej szkoły wojennej lub z K. O. P.-u. Wtedy Venus z Intelligence Service mogłaby się w tobie nawet zakochać na pewien czas, bo ona leci na takie znajomości. Ci ludzie — uczynił szeroki gest dłonią — są zawsze i wszędzie nastawieni na badanie. Ich władze i państwa wymagają od nich niezwykłego wysiłku umysłu, ślepej karności i braku błędów; z chwilą, gdy zawodzą, otrzymują dymisję lub coś gorszego jednoznaczącego o ile chodzi o efekt. Dlatego stale czuwają — przez co rozmowa z takim jest pracą umysłową, gimnastyką mózgu, wreszcie — ale nigdy odpoczynkiem.

— Nie zgadzam się z tobą. To zależy od usposobienia.

— Aha! Znowu filozofia. Szczęśliwy wiek, dwadzieścia pięć lat, kiedy nawet najzagorzalszy egoista jest altruistą, a najbardziej zajęty i racjonalny człowiek ma czas na wygłupianie się na tematy, które go nic nie mogą obchodzić. Poczekaj kilka lat, Adasiu, spoważniejesz i machniesz ręką na wiele idiosynkrazyj, jakie obecnie nazywasz ambicjami, zainteresowaniami i namiętnościami. Psiakrew! — jesteś zaraźliwy — uśmiechnął się inspektor. — Chodź, musimy coś zjeść. Jedzenie zabija myślenie.

Wstał odrazu i skinął na aspiranta. Bufet mieścił się w bocznej sali. Natychmiast podszedł do nich elegancki kelner, wskazał miejsca i przyjął zamówienie.

— Dobra obsługa.

— Nie złe pieniądze — uśmiechnął się Żbik z przekąsem. — Nie oglądaj się w tył. Ktoś nas obserwuje.

— Kobieta? Może twoja Helena.

— Mężczyzna. Właściwie nie powinienem się dziwić. Wszyscy tu obserwują się nawzajem. Poto między innemi zaprasza się dyplomatów na rauty. Co za ciekawa twarz...

Patrzał na wysokiego człowieka o stanowczym profilu. Skronie miał lekko przyprószone siwizną ale cerę jeszcze świeżą i rzeźką. Lekko naprzód poddany podbródek i ściągnięte wąskie wargi znamionowały energię i siłę woli. Stał przy bufecie i rozmawiał z jakimś również starannie jak on sam ubranym młodzieńcem — ale Żbik był pewny, że zaobserwowany przezeń mężczyzna nie słucha, co się do niego mówi. Pomimo całej twardości swej postawy człowiek ten wyglądał jak półprzytomny.

Bernard Żbik nie mógł jednak przypatrywać mu się długo, bo zasłonił go właśnie nadchodzący szczupły człowiek w sportowym ubraniu i o znanej obu detektywom twarzy. Na plecach dźwigał aparat filmowy. Na widok Żbika skinął z uszanowaniem głową swemu byłemu szefowi.

— Dobry wieczór, panie inspektorze. Lepiej fotografować żywych niż umarlaków. Wcale nie żałuję że wystąpiłem. Ale muszę już wiać. — Pożegnał się.

— Bartosz czuje się w swoim żywiole od kiedy z Urzędu Śledczego przeszedł do P.A.T.-a. Zaraz przeżyjemy wątpliwą przyjemność uwiecznienia na taśmie filmowej. Świat jest w gruncie rzeczy fatalnie monotonny.

— A ty byś chciał, Żbiku, aby codziennie kogoś mordowano w tajemniczy sposób. Od czasu morderstwa Karola du Saule nie miałeś ciekawego śledztwa.

— Pal to sześć. Teraz się napijemy.

Fotograf urzędowej agencji tłumaczył coś oficerowi z „dwójki", gestykulując żywo. Pokazywał mu jakąś kartkę czy bilet wizytowy. Bernard Żbik nie patrzał już w tamtą stronę. Człowiek o stanowczym, twardym profilu zainteresował go jednak. W wyrazie jego niezgłębionych oczu było coś niezwykłego.

— Zaczekaj tu.

Po tym krótkim zdaniu inspektor wstał, zbliżył się do bufetu i niby niechcący potrącił w łokieć stojącego.

— Pardon! Inspektor Bernard Żbik.

Przeraził się nieomal pod wpływem spojrzenia, jakie nań padło przez okamgnienie. Lecz może było to złudzenie, bo potrącony „nieumyślnie" uśmiechnął się i skinął głową.

— Stokowski.

— Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu bólu moją niezgrabnością. Chciałem wziąć zapałkę.

— Aha! I pański towarzysz pali papierosa. Ciekawe.

Bernard Żbik zmieszał się tylko na chwilę, usłyszawszy to zdanie z ust młodego towarzysza, człowieka, który go tak zainteresował. Opanował się jednak odrazu, skłonił się bez zażenowania obu panom i wrócił do stolika, gdzie czekał nań zaciekawiony aspirant, wiedząc, że Bernard Żbik niczego nie robi bez powodu. Jeszcze pół minuty po zmieszaniu się Stokowskiego i jego bystrego towarzysza z tłumem bawiących się na raucie osób, dość naogół opanowany inspektor siedział jak oniemiały. Wreszcie ocknął się, zapalił wygasły papieros i spojrzał na aspiranta.

— Ten z siwemi skroniami nazywa się Stokowski, bardzo ciekawa twarz. Jego towarzysz, ten młodzik jest bardzo bystry i rozgarnięty. Powiedział mi prawdę prosto z mostu. Mogę się jednak założyć o co chcesz, że...

— Że...?

— Ten wysoki siwy jest w strachu. On jest śmiertelnie przerażony.

Aspirant nauczył się już nie lekceważyć spostrzeżeń swego przyjaciela. Tym razem nie zrozumiał wszelako.

— Czego on się może obawiać?

— Ś m i e r c i — odparł inspektor Żbik z głębokiem przekonaniem. — Strach wyziera z każdego cala jego istoty. Jestem tego prawie pewny.

— Może się przecież mylisz.

— To nie ważne. Są dziedziny w psychologii ludzkiej, w których jestem, — że się wyrażę zarozumiale — nieomylny. Palce mu drżały, a oczy — czy ty wiesz jakie znaczenie ma wyraz oczu...

Zamyślił się poważnie i powtórzył dla pamięci: Stokowski. Był pewny, że słyszał już kiedyś to nazwisko i... W tej samej chwili zabrzmiał gong, zapraszający do stołu, Stokowski i jego dymyślny towarzysz zniknęli z oczu obu detektywów. Przez dalszy ciąg rautu, trwającego trzy godziny, Bernard Żbik nie ujrzał go już, pomimo, że szukał go — i pomimo, że umiał szukać. Odniósł nienormalne wrażenie, że pan Stokowski uciekł.

— Wiesz, — nie patrzał na aspiranta, gdy schodzili po wspaniałych schodach — miałem ochotę zapytać go o pozwolenie na broń.

— Kogo? — Adam Billewski oddawna już myślał o czemś innem.

— Tego... Stokowskiego.

— Był przecież we fraku i na balu. Na co mu broń.

— Miał w kieszeni na piersiach rewolwer dużego kalibru. Poznałem to po wypukłościach.

— Dlaczego ten człowiek tak cię zainteresował, Bernardzie.

— Dziwne, nieprawdaż. Dużo bym dał w tej chwili za odpowiedź na dwa pytania.

— Pierwsze?

— Jak długo będzie jeszcze żył pan Stokowski.

— A drugie — zainteresował się aspirant.

— Kiedy pan Stokowski zwróci się do policji o ochronę swego życia — i czy zwróci się Dziwny dziś jestem, Adasiu — jak sądzisz... Zaczynam przemawiać stylem Edgara Wallace'a.

— Zapomniałeś o trzecim pytaniu.

— ?

— To nie ważne.

O wiele później okazało się, że to było właśnie najważniejsze.

III.

Prognoza

W przestronnym, niskim gabinecie bez umeblowania było jak zwykle cicho i poważnie. Wymagały tego i czas i miejsce. Tylko wazon alabastrowy z czerwonymi i białymi astrami, stojący na rogu biurka przy oknie nadał temu pokojowi nieco prywatności. Wrażenie to zacierało się wobec trzech telefonów, portretów trzech Prezydentów i Marszałka oraz całego stosu „kawałków", przygotowanych do podpisu. Było cicho. W korytarzach Wydziału Czwartego Komendy Głównej panował spokój i nastrojowa powaga.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ROZSYPANKA

ul. „Eros".

Na — osz — lo — rym — w — któ — dza — te — ród — nie — czę — sta — się — każ — przy — de — la — zwy — go — cza — o — je — by — niem — bu — wa — swe — du — go — je — spo — na — dar — naj — stwo — da — trwal — men. — szym — cie — fun.

Powyższe sylaby należy tak poskładać, aby powstało znane powiedzenie p. Prezydenta Ignacego Mościckiego.

WYRAZ W TRZECH ZNACZENIACH

pod. L. K. Bydgoszcz.

Pierwszy raz jest zwierzem,
To znowu narzędziem,
Lub znakiem choroby,
Co niszczy wiek młody.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 7 maja br.

Rozwiązanie zadań z numeru 16 „Moich Powieści" Krzyż magiczny 1) Ciechanów. 2) Wejherowo. 3) Rawa Ruska. Bilety wizytowe: 1) Kamieniarz. 2) Lekarz. 3) Aptekarz.

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Stanisław Figurski — Partęczyny, Franciszek Manuszewski — Grudziądz, Alojzy Makurat — Gdynia, Ludwika Pukowiczówna — Poznań, Edmund Włodarczak — Kruszwica, Antoni Wasilewski — Grudziądz, Eryk Modrzejak — Kamieniska, Julian Sommer — Grudziądz, Karol Potera — Czersk.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp: Ludwice Pukowiczównie z Poznania i Karolowi Poterze z Czerska.

H-U-M-O-R

MEDYCYNA

Pan Stanisław dostał ataku ślepej kiszki. Wezwany lekarz stwierdził konieczność natychmiastowej operacji. Pan Stanisław nie chce się jednak zgodzić.

— Wolę umrzeć, niż poddać się operacji

— Ależ drogi panie — uspokaja go lekarz — przecież jedno z drugiem można doskonale pogodzić!...

NA RATY

— Podoba mi się ten samochód. Ile kosztuje?

— Sześć tysięcy złotych.

— A jeżeli na raty?

— Dwanaście tysięcy, ale połowa płatna z góry!

DOBRA POSADA

— A co, kumie, robi wasz syn w mieście?
— O, jemu się tam doskonale powodzi. Dostał świetną posadę. Ostatnio pisał mi nawet, że został neurastenikiem...

PRZEZORNOŚĆ

— Dlaczego stoi pan zawsze przed drzwiami, gdy pańska żona śpiewa?
— Żeby ludzie nie myśleli, że ją biję.

KOCHAJĄCY WNUCZEK

— Tatusiu, jak dorosnę, to się ożenię z babcią. Babcia taka kochana.
— Nie możesz się żenić z moją mamusią.
— A tatuś to przecież ożenił się z moją mamusią.

W SZKOLE

— Jasiu, powiedz mi, do czego służą uszy?
— Żeby czapka nie spadała na nos i oczy, panie profesorze.

NA LEKCJI BIBLJI

— Co było najgorsze w potopie?
— To, że ludzie nie znali wtedy parasoli.

PRZEZ TELEFON

— Czy ktoś do mnie telefonował? — pyta pani po przyjściu do domu swej niezbyt mądrej Marysi.
— Owszem, proszę pani, jakaś pani.
— Czy zostawiła nazwisko?
— Jak?
— Mówiła, że się nazywa Emjak Marja...
— Em jak Marja, proszę pani, coś jeszcze mówiła, ale założyłam już słuchawkę.

FIZJOGNOMISTA

Ulica w śródmieściu. Jakiś malec opiera swój rower o ścianę i kieruje się do pobliskiego sklepu z materjałami piśmiennymi.
Nagle zaniepokojony zawraca i odzywa się grzecznie do jakiegoś elegancko odzianego przechodnia:
— Czy nie mógłby pan przez chwilę popilnować mojego roweru?
— Dobrze, mój mały, ale czy nie boisz się że ci go ukradnę?
— Nie, proszę pana — odpowiada brzdąc z przekonaniem. — Jest pan za elegancki na to. Taki typ jak pan, może ukraść auto, ale nie rower!

DZIEDZICZNOŚĆ

— Czy w rodzinie pańskiej nie było kogoś chorego umysłowo?
— A tak, panie doktorze, moja siostra w ubiegłym roku odmówiła swej ręki bogatemu człowiekowi.

ŁAGODNOŚĆ

Żona: — Mnie zawdzięczasz, że jesteś tem, czem cię zrobiłam!
Mąż: — Dobrze, moja droga, nie robię ci przecież z tej racji żadnych wymówek.

SPRYTNY DZIECIAK

— Jeżeli nie będziesz grzeczny, zawołam policjanta.

— Dobrze, mamusiu, to ja powiem, że nie mamy pozwolenia na radio.

NASZE DZIECI

Podczas gdy pani W. szminkuje sobie usta przed lustrem, mały jej synek przygląda się temu z zainteresowaniem. Wreszcie pyta:

— Mamusiu! Czy to prawda, że czerwone usta są dowodem zdrowia?

— Pewnie! — odpowiada matka.

— W takim razie jesteś z prawej strony zdrowsza aniżeli z lewej.

BODAJ TO BYĆ BOGATYM

Dwaj bezrobotni przyglądają się jakiemuś jegomościowi, który, ubrany w eleganckie futro podchodzi do termometru i odczytuje temperaturę.

— Patrz, Felek — odzywa się jeden — takiemu bogaczowi we futrze to dobrze. On musi dopiero patrzeć na termometr, żeby wiedzieć, czy zimno czy nie!

DOBROCZYŃCA

— Słuchaj Maksiu! Skąd u ciebie to cudne auto?

— Loterja fantowa na cel dobroczynny!

— Co? Na ciebie padła główna wygrana?

— To nie... ale ja urządziłem tę loterię...



— To jest dla mnie niezrozumiałe, dlaczego pani życzy sobie, abym napełniała butelki za pomocą tego dziwnego instrumentu?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie